odgłosy
TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 31 (179)
Łódź, 6. VIII. 1961 r.
cena 1 zł

GDZIE PADAJĄ KULE

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

Gładka jest ta moja pani. Zanim zostałem przez nią przyjęty — natknąłem się na nią w sekretariacie przewodniczącego — przeprowadziła mnie przez korytarz na drugim piętrze, potem schodami na pierwsze do swojego pokoju. Wysłuchałem trzech rozmów telefonicznych, przeprowadzonych przez nią, przez panią, przed którą teraz siedzę, i która jest gładka jak statystyka. Nie wie jeszcze: ani kim jestem, ani w jakiej sprawie przychodzę, ale spotykanych po drodze ludzi informuje, że będzie mogła ich załatwić za chwilę; najpierw mnie musi załatwić. Ma interesanta, ja jestem tym interesantem, to nie potrwa długo. Wyjeżdża, ale wraca. Zaraz wraca i będzie mogła pomówić z dziewczyną o smutnych oczach, która stanęła jej na drodze z rękami opuszczonymi bezradnie, gotowa na przyjęcie każdego wyroku — a także z mężczyzną już z lekka posiwiałym, który chciał mówić w sprawie „z Franciszkańskiej". Ten nie robił wrażenia oczekującego na wyrok, przeciwnie: podejrzewam, że orzekał w sprawach mniejszej wagi. Ale w poważniejszych — do takiej kategorii musiała należeć sprawa „z Franciszkańskiej", odwoływał się do decyzji mojej pani.

Moja gładka pani szła — mimo oporów: dziewczyna i siwawy pan — szybko. Postępowałem, jak należało, krok za nią, a więc miałem przed oczyma tylko jej plecy lekko pochylone. Rozpięty płaszcz poszerzał jej figurę. Mogę przysiąc — chociaż tego nie widziałem, szedłem przecież krok za nią — że idąc nie rozglądała się na boki, najwidoczniej czymś przejęta, co — dla mnie — nie czyniło jej mniej gładką. Przeciwnie: kiedy dowiedziała się już kim jestem i po co przychodzę, dystans między nami jakby się odrobinę zwiększył. Była chwila kiedy sprawiło mi to satysfakcję. Więc — zgadza się. Jeżeli nie wyżej, jeżeli nie wysoko, to n i ż e j zgadza się. Wyżej dali się po prostu nabrać. Nie wiem komu dali się nabrać, ale dali się nabrać i otworzyli bramy miasta przed inwazją reporterów, postąpili wbrew obowiązującym zwyczajom, wedle których każde miasto i każde województwo ceni, szanuje i toleruje swoich ludzi, ale przed obcymi się nie odsłania, obcym nie dowierza, bo czyż obcy potrafią dostrzec i wyważyć jak należy zasługi i błędy, czy ich osąd zgodzi się z osądem już utrwalonym, ważnym i nieodzownym dla sprawnego funkcjonowania miasta? Trudno tu o pewność. Więc na górze dali się najprawdopodobniej nabrać. Ale niżej — nie.

Niżej, w pokoju wiceprzewodniczącej DRN Bałuty tow.

mgr Wojciechowskiej jestem tym kim jestem: obcym uchem i obcymi oczyma. Na siedem dni i siedem nocy podłączam się do organizmu Bałut, w ciągu tygodnia mam zebrać materiał wystarczający do zbudowania obrazu tej dzielnicy Łodzi, najstarszej dzielnicy miasta, jedynej, której historia liczy się na wieki i która doznała tego wszystkiego czym miasto mogło obdarzyć historia i los: Kongres Wiedeński, wojny i rewolucja, Staszic, Drucki-Lubecki, Grohman i Poznański, lata czterdzieste naszego wieku i sześćdziesiąte lata. To nie jest możliwe i o tym, że to nie jest możliwe wie —tak samo jak ja wiem — tow. mgr Wojciechowska. Dlatego jest gładka jak szkło, jak statystyka.

Wiem jak rozbija się szkło. Czyż nie wystarczy, kiedy powiem, że statystyka — kłamie?

Że szewc, który mi naprawiał ścięte na łódzkich brukach obcasy butów, pracujący w warsztacie, który przetrwał wszystkie dni powszednie i wszystkie święta Bałut i otwarcie dzielnicy „Na Dołach", że tenże szewc, proszę towarzyszki przewodniczącej, twierdzi, iż w nowych domach nie mieszkają robotnicy. Nie robotnicy, a więc kto? Powiem. I ten szewc twierdzi — a nie był odosobniony w swoim zdaniu — że Tatarkówna strzela, a kto inny kule nosi. Kto? Powiem i to także. I mówił jeszcze, że on tu wszystkich zna, bo kto ma znać jak nie szewc, który prowadzi warsztat od 15 lat w tym samym lokalu i jeżeli już coś mówi, to wie co mówi, a mówi, że ta dzielnica — dzielnica Staromiejska, wschodnia część Ba-

Dalszy ciąg na str. 4

EWA RADZIKOWSKA z Teatru „Ateneum" gra główną rolę w filmie Marii Kaniewskiej „U progu sztuki". O filmie tym napiszemy w jednym z najbliższych numerów.
Fot. W. Rozmysłowicz

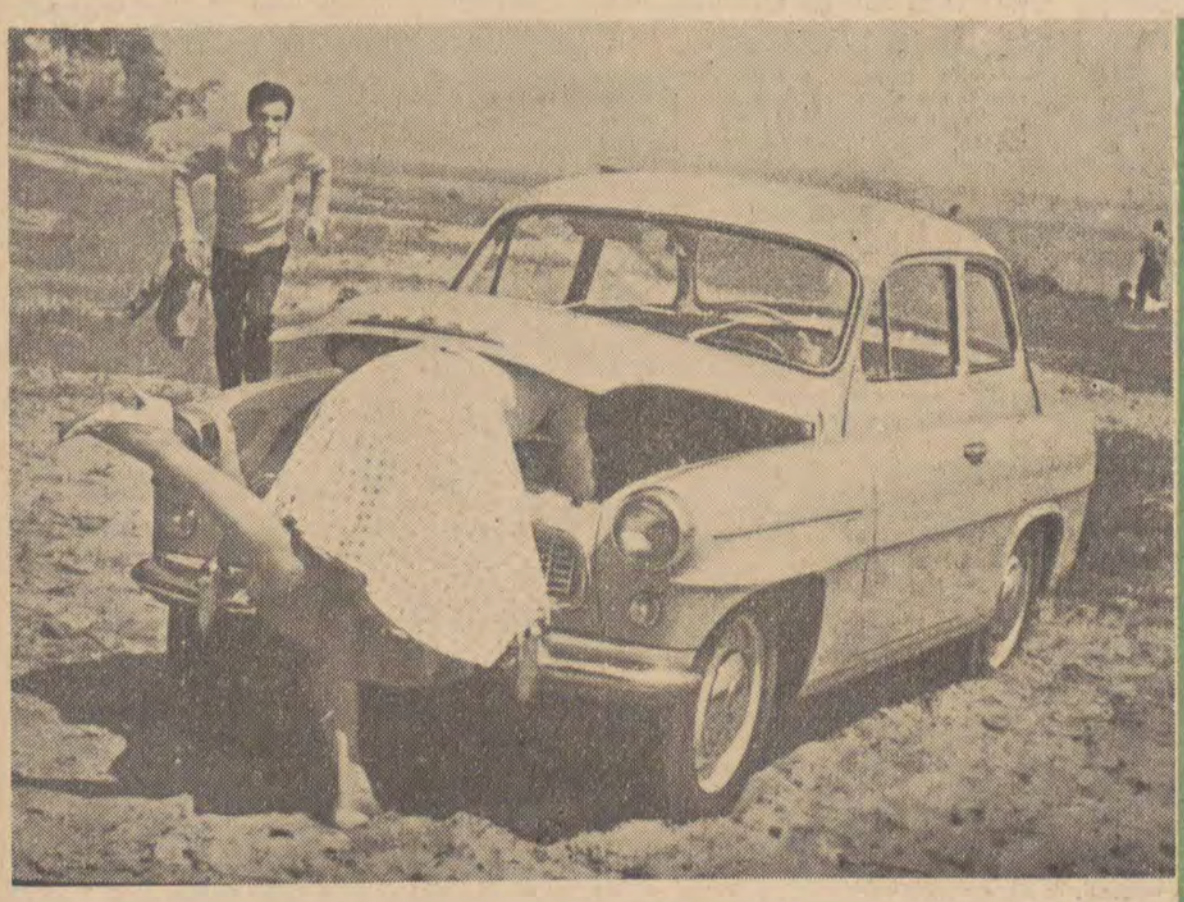

CZYM JEST HEL?

Czytaj na str. 6

Zdjęcia JAN KOPEĆ

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

JERZY PANASEWICZ

Brzydkie kaczątko — rzecz o Teatrze 7[15]

Słowo się rzekło. W miarę możności zwięźle i w miarę sił rzeczowo postarajmy się przedstawić historię teatru, teatru tym może różnego od innych, że trudno zaliczyć go do lepszych czy gorszych, a nazwać trzeba po prostu teatrem nie udanym, teatrem — że raz jeszcze powołam się na Giraudoux — który po dziś dzień nie odnalazł swojej płci.

PREHISTORIA

Pra-pra-babką tego teatru była „Syrena". Dobre to były czasy Gozdawą i Stępniem płynące, pamiętne najświetniejszymi nazwiskami polskiej estrady, pamiętne programem „Wgląd w rząd" i długą litanią sukcesów.

Potem, gdy „Syrena" do Warszawy uciekła, przeniosła się tu „Osa", ale podobnie jak „Syrena" zabrała do Warszawy znaczną część swojej publiczności, tak i „Osa" przyszła tu z ulicy Zachodniej z własnym, we wszelakich „Pepinach" i „Rozkosznych dziewczynach" rozkochanym widzem. I ranga artystyczna sali — to ważne! — zaczęła z wolna podupadać, widz począł się przyzwyczajać, że tu, na Traugutta, konsumuje się szczególny rodzaj sztuki i doznaje szczególnych wzruszeń.

Następnie mieliśmy Teatr Mały, filię Teatru Muzycznego, z „Mikadem" i „Domkiem trzech dziewcząt", wreszcie nastali „Satyrycy" i Igor Sikirycki.

Różnie im się w różnych okresach wiodło. Obok programów udanych, jak „Uwaga, kręcimy!", mieliśmy i programy zgoła koszmarne, sprawiedliwie jednak rzec trzeba, że teatr konsekwentnie stawiał na składankę, raz wiązaną konferansjerką, raz jakąś montażową inscenizacją, ale zawsze będącą jakimś mniej lub bardziej aktualnym zestawem numerów, a więc tym mniej więcej, czego się dzisiaj od niego żąda.

Że jednak o teksty estradowe nigdy nie było łatwo, że zmontowanie programu szło opornie, a publiczność — jeszcze telewizji nie znająca — pchała się na co bądź drzwiami i oknami, przeto teatr począł eksploatować swoje składanki aż do samego dna, aż do końca, przez cały rok jedną. No, może niezupełnie przez cały rok, z wiosną poczynało brakować oddechu, ale wówczas teatr ruszał w tournée, a do Łodzi zjeżdżały takie sobie różne zespoliki z całej Polski, ostatecznie i bez reszty dewaluując wyrobioną kiedyś przez „Syrenę" firmę sali.

Jednocześnie prasa krzyczała na alarm. Polurbował Teatr Satyryków **Zbigniew Chyliński**, zjechał **Jan Huszcza**, zmaltretował **Edward Etler**, dołożył co swoje niżej podpisany*) wreszcie „Po prostu" felietonem o buchniętym dywaniku spowodowało gniewy bliskie wytoczenia sprawy sądowej. Trwało to tak długo, aż Teatr wpadł na pomysł na jaki nigdy by nie wpadło brzydkie kaczątko z bajki Andersena — przechrzcił się. I stał się Teatrem 7.15, ale i on nie miał szczęścia.

HISTORIA

Pierwszym kierownikiem artystycznym Teatru 7.15 został **Jerzy Antczak**. Stan faktyczny jawił się wówczas następująco: opinia sali (albowiem wydaje się, że znaczna część widzów kojarzy swoje wzruszenia z salą, a nie z teatrem i tak np. zespół Filharmonii koncertując w Operetce będzie miał zapewne inną publiczność) kompletnie zapaskudzona, zespół rozbity, niemal wytrzebiony z większych indywidualności aktorskich, w dodatku — co było tzw. tajemnicą kuluarów — skłócony i gryzący się wewnątrz. To wszystko było nieco ponad siły młodego i niezbyt jeszcze doświadczonego reżysera, tak że niezależnie od spornych koncepcji artystycznych**), pod koniec sezonu okazało się jasno, że nie wytrzymuje on ciśnienia i powinien ustąpić.

Teatr objął **Roman Sykała**, onże przy okazji reżyser „Uwaga, kręcimy!", a więc najlepszej składanki, jaką po wyjeździe „Syreny" udało się w Łodzi zmontować, z tym przecież, że ambicjami i zainteresowaniami artystycznymi mierzący raczej ku scenie innego formatu i — co również zalicza się do kuluarowych tajemnic — traktujący sezon 1958/59 jako sezon w pewnym sensie przejściowy.

Rzecz się sprawdziła — Roman Sykała obejmuje po roku Teatr Powszechny, a kierownikiem artystycznym Teatru 7.15, przy niemalże niezmienionym trzonie zespołu, zostaje **Michał Orlicz**. I on nie ma łatwego zadania — opierając się głównie na bulwarowej komedii i farsie francuskiej próbuje wprawdzie i składanki w znacznej mierze na warszawskich tekstach montowanej, ale nie odnosi tu przesadnego sukcesu***).

Od trzech sezonów Teatr 7.15 ma tedy nową nazwę, nie ma jednak jeszcze nowej twarzy. Odłączywszy się od rodziny teatrów estradowych, rodziny zresztą wymierającej podówczas na potęgę we wszystkich, poza Warszawą, miastach, nie bardzo wie pod skrzydła jakiej muzy ma się wtulić.

CZASY WSPÓŁCZESNE

W sezonie 1960/61 przyszedł **Janusz Kłosiński** — czwarty z kolei kierownik artystyczny Teatru 7.15 — i jako pierwszy począł sobie po męsku, wymiemiając znaczną część zespołu, angażując **Blasińską, Chwiałkowską, Jedlewską, Ludkiewicza, Matera, Misiurewicza, Ziembińskiego** — słowem całą plejadę przeważnie zdolnych i przeważnie młodych aktorów, z którymi teoretycznie mógł ważyć się już na coś więcej, aniżeli jego poprzednicy. Rzeczywiście, teatr daje kilka niezłych, dobrych, a przynajmniej poprawnych przedstawień. Mimo wszystko, brakuje mu jasnej koncepcji, ba, oddechu nawet, skoro pod koniec sezonu musi począć umizgiwać się do widza francuską farsą i tradycyjnie reżyserowanym Goldonim.

Nie jest to jednak to, co „szczególnie lubiłyby tygrysy", stąd — oczywiście — niezadowolenie, stąd sugestie, że może by wrócić do estrady, wrócić do składanki, słowem wrócić do punktu wyjścia.

CZASY PRZYSZŁE

Nie znam, może to i dobrze, planów repertuarowych Teatru 7.15 na sezon 1961/62, choć wiem, że programy składane zajmują w nich poczesne miejsce. Nie znam też wszystkich zmian w zespole, choć wiem, że były bardzo poważne i cała grupa czołowych aktorów opuściła teatr.

Ciekaw jestem, kto przyszedł. Bo dla programów składanych potrzebny nie tylko autor tekstów****), potrzebny jest, może przede wszystkim, aktor, wykonawca. Potrzebny jest piosenkarz, piosenkarka (kto?), potrzebny jest — powiedzmy — zespolik girls (skąd?), albo utalentowana tancerka charakterystyczna (kto?), przyda się tzw. parodysta w guście Gałązki (mamy?!) i tak dalej, i tak dalej. Nie widzę tego typu aktorów w Łodzi, albo przynajmniej widzę ich niewielu, rozstrzelonych po różnych teatrach, uginających się pod ciężarem chałtur i w ogóle nie mających za wielkiego interesu w występowaniu na estradzie. Podpisując się tedy pod „czystą ideą" stworzenia w Łodzi czegoś w guście estrady satyrycznej, nie sądzę, abyśmy — przynajmniej w najbliższym okresie — mieli po temu środki, że zaś wszystkie teatry ratują w ciągu sezonu kasę wodewilami i muzycznymi komediami, że przybytkiem współczesnego repertuaru jest, i chyba powinna być, Mała Sala Teatru Nowego, przeto daremnie rozdrapuję sobie mózg w poszukiwaniu takiej repertuarowej formuły, która by naszemu brzydkiemu kaczęciu pozwoliła przeobrazić się w łabędzia.

Przeto, ze smutną świadomością, że kładę głowę pod topór, pragnę zapytać: co sądzicie o eutanazji? Czy „dobrotliwa śmierć" tej niezbyt wydarzonej sceny, rozumiana zresztą wcale nie dosłownie, bo jako połączenie z jakimś innym, większym teatrem, nie byłaby czymś w rodzaju radykalnego wyjścia z sytuacji? Ileż to lat wreszcie mamy na coś, czego nie potrafimy sobie nawet teoretycznie wyobrazić, czekać i liczyć niewypały?

W dodatku, jeżeli już chcemy składanki, takie połączenie może wyjść jedynie na dobre samej idei, w każdym bowiem teatrze znajdziemy paru bodaj aktorów, którzy mają czego szukać na estradzie — ot, w Teatrze im. Jaracza mamy Lenę Wilczyńską, mamy Alicję Krawczykównę, mamy paru młodych, zdolnych mężczyzn, doskonale — o ile zauważyłem — tańczących...

Jak Wam się to podoba?

---

*) Ogromna większość wspomnianych artykułów ukazała się, co do sprawdzenia, na łamach „Kroniki".

**) Jerzy Antczak myślał o teatrze pół na pół komediowo-awangardowym, oczywiście w ówczesnym, dość nieśmiałym rozumieniu słowa „awangarda". Marzył o „Za Lukrecję" Giraudoux, chciał przykrawać do współczesności „Dobrodzieja złodziei" Irzykowskiego; stanęło na „Liliomie" Molnara, granym zresztą bez powodzenia — była to po prostu pozycja inna od tej, jakiej oczekiwała publiczność.

***) Chodzi o program „Humor i ojczyzna", wokół którego było sporo hałasu.

****) Autorzy tekstów, myślę, w Łodzi by się znaleźli — myślę o twórcach „Pstrąga" czy grupie satyryków, skupionej wokół radia.

TA PANI jedzie do KANADY

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

Drzwi są oszklone, dwuskrzydłowe. Na jednym ze skrzydeł napis SEKCJA PASZPORTÓW. Za tymi drzwiami poczekalnia. Tu już pachnie zagraniczną przygodą. Stąd właściwie rozpoczynają się podróże za góry, morza i oceany. Pod ścianami stoją w kolejkach ludzie. Mężczyźni młodzi i w sile wieku, kobiety naturalnie siwe i sztucznie, nie brak i dzieci.

Ta młoda kobieta o dużych szarych oczach stoi niby nieruchomo, ale czerwona parasolka, którą trzyma w ręku, unosi się kilka centymetrów w górę i opada w dół. Lśniący, metalowy szpikulec kłuje podłogę raz za razem jak dziecioł pień.

Dokąd ta pani chce wyjechać? Stoi przed drzwiami z napisem „Załatwianie spraw do Austrii, NRD, NRF i krajów poza Europą". Czyż by wybierała się gdzieś za ocean?

— Będę miała aż trzy przesiadki — wzdycha dziewczę w modnej sukience z falbaną u dołu, spod której wyziera rąbek bieli. Nie, to nie ta z parasolką. Ona stoi przed drzwiami, za którymi załatwia się sprawy do Albanii, Bułgarii, CSRS, Rumunii, Węgier, ZSRR.

— Aż trzy? — uśmiecha się stojący przed nią mężczyzna. — Sądzi pani, że to dużo? Chciałaby pani od być tak daleką podróż i ani razu nie przesiadać? Tylko z Łodzi do Koluszek nie ma przesiadki.

— Mama, gdzie mama?! — woła mężczyzna stojący przed drzwiami, z których wychodzi właśnie interesantka. Spod przeciwległej ściany wybiega może ośmioletni chłopak i rozgląda się desperacko po zgromadzonych.

— Nie ma mamy — stwierdza przerażony.

— Szukaj jej! — rozkazuje mężczyzna i znika za drzwiami. Chłopak wybiega z poczekalni. Gdzieś na schodach dudnią jego kroki. Mężczyzna wychodzi z pokoju. Kręci głową. Jest zirytowany. Przybiega zadyszany chłopak.

— Nie ma mamy! — Woła.

— Psia krew, z babami! — klnie mężczyzna. Zgromadzeni wybuchają śmiechem.

— Nie chce wyjeżdżać, dobrze jej w Polsce — komentuje ktoś głośno.

— Dobrze, psiakrew — mruczy mężczyzna. Nowy wybuch śmiechu. Rozjaśniają się twarze zmęczone wyczekiwaniem. Potem znowu zamazuje je znurzenie.

NIE KUPIŁAM KOTA W WORKU

A ta pani o dużych oczach ciągle stuka parasolką.

— Przepraszam, można wiedzieć dokąd się pani wybiera?

— Do Kanady, do Montrealu.

— Na długo?

— Na zawsze. Jadę do męża.

— Od dawna jest pani mężatką?

— Od trzech miesięcy.

— Mąż jest Polakiem?

— Tak, ale ma obywatelstwo kanadyjskie.

— W jaki sposób poznała go pani?

— Przyjechał do siostry.

— Długo trwała znajomość przedślubna?

— Niech pan nie myśli, że kupiłam kota w worku. Był tutaj pół roku, zanim wzięłam z nim ślub.

— A teraz pani tęskni?

— Powiedzmy. Załatwienie formalności trwa od trzech miesięcy. Wizę już mam, ale z góry mi powiedziano, że będzie to trwało cztery miesiące i ten czwarty miesiąc będę czekała chyba gwoli tej zapowiedzi.

— Kim jest mąż z zawodu?

— Elektronikiem.

— Ile zarabia?

— Trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Dużo to?

— No, trochę więcej niż trzysta pięćdziesiąt złotych.

— Co pani zamierza robić w Montrealu?

— Chcę być nauczycielką. Jest tam duże zgrupowanie Polaków.

— I nie żal pani wyjeżdżać na zawsze?

— Nie jest powiedziane, że już nie wrócę.

— Przyjemnej podróży i powodzenia.

— Dziękuję.

DWA BERLINY?

Ta siwa pani bez przerwy pisze. Kwestionariusze zalegają cały stolik i jeszcze dodatkowo parapet okienny.

— Ma pani jakieś kłopoty z wypełnieniem kwestionariusza?

— Ano właśnie, jeden napisałam źle i teraz przepisuję.

— Dokąd pani zamierza jechać?

— Do Berlina.

— Wschodniego czy zachodniego?

— Powiedzieli, że to za-

chodni. Nawet nie wiedziałam, że są dwa Berliny.

— Kogo pani chce odwiedzić? Syna, córkę?

— Ano syn też tam jest.

NAJGORSI DYREKTORZY

— Gdyby pan posiedział z dzień na moim miejscu, wtedy wiedziałby pan coś niecoś o naszych interesantach i mógłby pan coś o nich napisać — powiedziała jedna z urzędniczek sekcji paszportów.

— Są niewdzięczni?

Dalszy ciąg na str. 7

Czas odjazdu się zbliża. Foto: L. Olejniczak.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

„FORT na Obozowej"

Narada wojenna... Fot. A. Holender

Moda na filmy o tematyce dziecięcej trwa nadal. Po "Świadectwie urodzenia" Różewicza, „Wyroku" Jerzego Passendorfera i „Historii żółtej ciżemki" Chęcińskiego z kolei reżyser Vadim Berestowski zajął się ekranizacją popularnej książki Józefa Hena „Bitwa o Kozi Dwór". „Fort na Obozowej" bo taki ma być ostateczny tytuł filmu jest już drugim (po „Tajemnicy dzikiego szybu") filmem Vadima Berestowskiego, w którym bohaterami są dzieci. Akcje filmu stanowią przygody dwóch „band" chłopców rywalizujących ze sobą rozmaitymi sposobami, ujęte w formie wspomnień jednego z członków takiej „bandy".

Zamierzeniem reżysera Berestowskiego i autora scenariusza — Józefa Hena było zachowanie w tle filmu klimatu starej Warszawy. Nie jest to rzeczą łatwą. Tereny na których umieszczona była akcja książki zmieniły się dzisiaj gruntownie. Nowe osiedla, las anten telewizyjnych, wielkomiejski ruch — ani śladu dawnej Warszawy. Po wielu perypetiach znaleziono w Łodzi na Bałutach odpowiedni plac.

Reżyser Berestowski opowiedział mi przy okazji świetną historyjkę obrazującą kłopoty realizatorów. Otóż w kilka dni po zajęciu przez ekipę filmową tego, bodajże ostatniego w Łodzi „dzikiego placu" przybyła tam grupa pracowników budowlanych z zamiarem rozpoczęcia prac wstępnych pod budowę wieżowca. Dopiero po długich pertraktacjach z kierownictwem budowli udało się uzyskać zwłokę pozwalającą na skończenie filmu. Tak więc zdjęcia z filmu będą miały w pewnym sensie historyczny charakter. Dużo kłopotów było również z zagospodarowaniem placu. Ogrodzono go płotem, zapełniono najprzeróżniejszymi rekwizytami — beczki, skrzynie, części samochodowych trupów, gdzie niegdzie autentyczny kawałek tramwaju staruszka — słowem wszystko co tylko mogła fanazja dzieci wymyśleć a rekwizytor znaleźć i przytransportować.

Niemało trudności przysporzyło wyszukanie i dobór młodych aktorów. W filmie występuje ich ponad dwudziestu. Zaangażowano kilku chłopców znanych z filmów Nasfetera, ogłoszono konkurs w prasie i w telewizji. Spośród kilkuset zgłoszeń wybrano wreszcie potrzebną grupę. Przy okazji dokonano prawdziwie rewelacyjnych „odkryć", z których jednym z ciekawszych jest Andrzej Błaszczyk popularnie nazywany „małym Fernandelem". Chłopcy doskonale czują się w swoich rolach. Można przecież powiedzieć, że grają samych siebie. Każdy z nich w mniejszym czy większym stopniu przeżywał podobne historie na własnym podwórku.

Gdy byłem na planie kręcono właśnie scenę walki. Za barykadą z beczek widać skupione twarze chłopców, którzy gotują się do walki. Kępy trawy i pęcyny ziemi furkoczą w powietrzu. Operator musi dzielnie manewrować, aby siebie i kamery nie narazić na szwank. Dzieci traktują walkę bardzo serio i walczą do upadłego. Gdyby przypatrzeć się dłużej zauważyć by można, że zasady walki oparte są na wzorach żywcem wyjętych z niektórych polskich filmów. Mamy i „psychologiczny" atak i „szarże" ułańską i bohaterskie sanitariuszki pod gradem kul opiekujące się rannymi. To nie plagiat, to celowe zamierzenie reżysera, kapitalna parodia dzielności, bohaterstwa za wszelką cenę i walki do ostatniej kropli krwi — tak często występujących w naszych wojennych filmach.

„Fort na Obozowej" adresowany jest w zasadzie do młodzieżowej widowni ale na pewno nie będą się na nim nudzić i starsi. Reżyser Berestowski chce to osiągnąć właśnie przy pomocy fragmentów będących celną satyrą na niektóre sprawy ze świata dorosłych.

Oprócz młodych aktorów takich jak Ludwik Halicz — (adiutant króla Maciusia z filmu Wandy Jakubowskiej), czy Tadeusz Wiśniewski znany z filmów Nasfetera, grają i dorośli. Między innymi Cezary Julski oraz „debiutujące" w filmie dwie znane aktorki teatralne Zofia Petri i Irena Górska.

Zdjęcia będą skończone gdzieś za miesiąc tak, że wkrótce możemy się spodziewać nowej premiery polskiego filmu.

Jeden z młodocianych bohaterów „Fortu". Fot. A. Holender

„Tajemniczy rewolwer"

Od początku widz orientuje się „Kto zabił". Szwarc — charakter jest tak wyrazisty w sylwetce, aparycji, że trzeba bardzo naiwnego widza, by nie potrafił wydedukować dalszego ciągu filmu reżysera Val Guesta, znanego u nas twórcy nienajlepszej komedii „Atomowa kaczka" i supermakabrycznego filmu „Zemsta kosmosu". Również „Tajemniczy rewolwer" tego reżysera nie wypalił jako kryminał filmowy. Oglądamy idiotyczną historię rozłażącą się dramaturgicznie, a zarazem jakoś bardzo jak na Anglików czołobitną w stronę amerykańskich wojsk stacjonujących na terenie Anglii. Czyżby Val Guest zrobił swój „Tajemniczy rewolwer" na użytek NATO?

Oto „nieudolna" policja londyńska musi korzystać z usług genialnego oficera amerykańskiego, który szaleje tylko po to, by wykryć, kto zabił przed 10 laty amerykańskiego czarnogiełdziarza i hochsztaplera w randze kapitana US Army.

Wąż morski z jeziora Loch Ness w Szkocji podobno już się ukazał — dowodzi to ogórków w prasie. „Tajemniczy rewolwer" świadczy niezawodnie, że niewypały filmowe wchodzą na nasze ekrany — czyli sezon ogórkowy w kinach także został rozpoczęty.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK

Kino z bliska

MIESZANKA FILMOWA

Aż dziw, że sprawa nie wybuchła dotąd wielkim skandalem. Chodzi o to, że od trzech lat, jeśli pomijać rzeczywiste wyjątki — nie kręcimy kolorowych filmów fabularnych. I zanosi się, że w najbliższym czasie barwne filmy nadal nie będą powstawać.

Rzecz nie polega na niechęci reżyserów polskich do koloru, nieznajomości tej techniki wśród operatorów, nie wchodzi też w grę skąpstwo finansowe producentów. Ba, powszechnie wiadomo, dowodzą tego wszystkie statystyki, że nakłady na kolorowicie się opłacają w zwiększonej frekwencji widzów, barwne filmy drożej sprzedaje się za granicę... Wreszcie — panorama z barwą chętnie żyją z sobą w parze: film szerokoekranowy, ale czarno-biały — tu coś się ze sobą kłóci, przyjmujemy zupełnie młodą technikę, a odrzucamy starą?...

Jako się rzekło: teoretycznych oporów przeciw filmowi kolorowemu nie ma w naszym kraju żadnych. Istnieje jedna tylko bagatelna przeszkoda natury wulgarnie praktycznej — brak taśmy.

W tym miejscu fachmani od obrotu dewizowego i importu gotowi są głośno krzyknąć — nieprawda! Przecież od lat sprowadzamy do Polski barwną taśmę system „Aqua color" jest tego surowca pod dostatkiem, istnieją zapasy...

Zgoda. Wiadomo dobrze każdemu pracownikowi twórczemu, że może kręcić na „akwie" ile dusza zapragnie a limity produkcyjne pozwolą. Tylko że nikt na tej taśmie kręcić nie chce.

Zalety systemu „Aqua" były zaletami lat temu... naście. Przez ten czas świat i cywilizacja poszły te pare kroków naprzód, dlaczego nie miała też pójść technika kinematografii? Trudno dziś zaiste wmawiać ambitnym realizatorom (nieambitnych w Polsce dotąd nie zarejestrowano), że mają oferować widzowi kolor „jaki się uda", który i tak po roku, dwóch zburaczkowieje lub zajeczniczy się... Ot i problem — system „Aqua", przestarzały i niedoskonały — nie daje twórcom żadnej gwarancji na uzyskanie przynajmniej przybliżonych do zamierzeń efektów, nie daje też szansy na utrzymanie w eksploatacji efektów już osiągniętych. Taka jest bowiem natura „akwowskiej" taśmy, że po jakimś czasie, nawet zamknięta w blaszanym pudle — traci po prostu utrwalone poprzednio kolory, rozpływa je w czerwonych lub żółtych sosach.

Aleksander Ford, przewidując sukces swoich „Krzyżaków", wielomiesięczne przebiegi kopii w kinach — oczywiście nie zgodził się na kręcenie systemem „Aqua". Słusznie!

MIESZANKA FILMOWA

Co mają zaś robić inni? Godzić się z tą techniką w drodze wyjątku, jak to uczynił reż. Chęciński, kręcąc „Historię żółtej ciżemki", bo to ostatecznie film dla dzieci... Albo nie godzić się

wcale na barwę, jak to zrobiło kilkunastu innych reżyserów, dzięki którym w ciągu najbliższego roku nie zobaczymy ani jednego polskiego filmu kolorowego!

I nie miejmy o to pretensji do owych reżyserów i operatorów, choć niektóre tematy aż się błagały o barwę („Dziś w nocy umrze miasto", „U progu sztuki", „Mąż swojej żony" itd. itp.).

Wnieśmy natomiast soczystą wiązankę pretensji właśnie do fachmanów od importu, którzy żałują dewiz na sprowadzenie nowoczesnego i sprawnego surowca.

Tych dewiz, których w takiej ilości dostarcza eksport polskich filmów.

MARCIN KOSTECKI

EKRANIK

Już w październiku wejdzie na nasze ekrany sławna amerykańska adaptacja „Wojny i pokoju", reżyserii Kinga Vidora. W barwnym, panoramicznym, 3-godzinnym filmie — występują m.in. Audrey Hepburn w roli Nataszy oraz jej mąż Mel Ferrer jako książe Bołkoński. Przypominamy, że jednocześnie w Związku Radzieckim trwają przygotowania do kolejnej ekranizacji wielkiego dzieła Lwa Tołstoja.

JAN LASKOWSKI — współtwórca „Ostatniego dnia lata", absolwent wydziału operatorskiego PWSTiF — debiutuje jako samodzielny reżyser filmu fabularnego. Rzecz realizowana jest w zespole „Kadr", tytuł filmu „Kosiarze".

„PORGY I BESS" sfilmowana opera murzyńska z muzyką Georga Gershwina — nie została dopuszczona do wyświetlania w niektórych południowych stanach USA.

JULES VERNE nie przestaje być najmodniejszym pisarzem młodzieżowym i... scenarzystą. Ostatnio wytwórnia filmowa Walta Disneya przystąpiła do realizacji barwnej adaptacji „Dzieci kapitana Granta" Główną rolę — kapitana — zagra popularny aktor francuski Maurice Chevalier.

ZNANA z filmu „Casino de Paris" — Caterina Valente, pieśniarka pochodzenia niemieckiego — utrzymuje od roku absolutny rekord światowy w ilości sprzedanych płyt ze swymi nagraniami. A więc wcale nie Eartha Kitt czy Elvis Presley, jakbyśmy skłonni przypuszczać...

DONALD

I. wyróżnienie w Konkursie „OPISANIE ŁODZI"

Dalszy ciąg ze str. 1

tut — to raj i piekło. I że czym więcej tu raju, tym piekło bardziej dręczące. To wszystko mówione jest wbrew statystyce. Stąd — statystyka kłamie. Czyżbym nie miał racji?

I tak szkło pękło.

Teraz przede mną siedzi Wojciechowska i pyta: czy był pan na Józefa 16?

* * *

Żeby z siedziby DRN Bałuty dojść na Józefa, trzeba przejść ulicę Róży Luksemburg, potem — w prawo — Wojska Polskiego, dalej skręcić w lewo i wejść w osiedle zbudowane na ruinach getta. Podaję dokładną marszrutę, ale nie mam pewności, czy traficie na Józefa. Dziś to nie ulica, ale szczątek czegoś co lat temu kilkanaście ulicą było. Przy Józefa stoi gmach dawnej fabryki — ktoś nazywa ją olejarnią — ale fabryki z pozoru. Trzy przemysłowe piętra, okna w siatce żelaznych krat, w nich szybki 30×40 cm. Do wnętrza prowadzą kamienne schody i one jedynie poza murami i poza żelaznymi kratami w oknach są tu czymś trwałym, uwalniającym od myśli: to wszystko za moment runie; stropy zapadną się jak w niemym filmie: bez trzasku, bezgłośnie. Strop, który dla wyższego piętra jest podłogą, spadnie i zmieni się w stertę gnijących trocin. Oglądam go dokładnie. Oglądam każdą deskę podłogi. Są nasiąknięte olejem, który przebija się przez pokłady kurzu. Szukam śladu kredy. Szukam linii, o której mówiła mi Wojciechowska, linii wyrysowanej kredą na przesyconej olejami podłodze, szukam widomego śladu piekła, które przetrwało lata czterdzieste; pięćdziesiąte i początek lat sześćdziesiątych. Jeżeli ją znajdę, jeżeli wam ją pokażę, jeżeli dotkniecie jej oczyma, tak jak ja jej dotknę — po obu jej stronach zobaczycie to, co po obu jej stronach było: kobiety ze wzniesionymi rękami, z ogniem w oczach rozpalonym przez rozpacz i nienawiść, broniące linii — walczące o nie istniejącą w żadnej materialnej rzeczywistości granicę swojego domu.

Bo olejarnia od lat nie jest fabryką. Jest — była — domem dla trzydziestu rodzin, domem bez ścian, domem, w którym mieszkanie od mieszkania, sen jednej rodziny od snu drugiej rodzina dzieliła dwuwymiarowa kredowa linia.

Lata zamierzchłe? Lata „sławnych" Bałut, straszących — myślę o czasach przedwojennych — całą polską biedę, która jeszcze nie była na zupełnym dnie — widmem nędzy ostatecznej, w której przestawały działać wszelkie nakazy i zakazy poza jednym: jeść. Otóż nie. Z Józefa 16 ostatnich lokatorów wyprowadzono przed kilkoma miesiącami. Nie wszystkich: ostatni jeszcze tkwi w ruinach burzonej olejarni. Ma jeszcze dach nad głową, w jego mieszkaniu gra radio, ale nie ma już komina, który zburzono. Tkwi i czeka. Bóg o nim zapomniał? Nie na interwencję Boga czeka ostatni lokator olejarni. Zapomniała o nim moja gładka pani? Nie, skoro mi wskazała adres: Józefa 16. Ostatni lokator jest o tym też najgłębiej przekonany. Jej nie wolno zapomnieć ani o nim ani o kilku tysiącach innych, którzy na Staromiejskiej mieszkają w warunkach lepszych może, ale równie odległych od tego, co przewidziano dla człowieka XX wieku, człowieka dziesięciolecia Gagarina, w państwie socjalistycznym. A przewidziano dwa pokoje z kuchnią i łazienką, albo jeden pokój — jeżeli kawalerka — z wnęką na łazienkę, albo trzy pokoje z wygodami. Ale nie to jest najważniejsze. Przewidziano rzecz, która czyni z Wojciechowskiej szkło. Proklamowano prawo do raju. Obdarzono nim wszystkich, wszystkich takim samym, wszystkich obdzielono równo. Proklamowano je wbrew tysiącom lat historii świata, Łodzi, a Staromiejskiej w szczególności.

Na opowiadanie setek lat historii Staromiejskiej nie czas tu i nie miejsce. Ale trzeba wspomnieć, że tu gdzie dziś jest rynek istniał przed laty pięciuset pierwszy rynek w Łodzi. Wokół kilkadziesiąt posesji. I tak to trwało lat blisko czterysta. Łódź liczy 800 mieszkańców. Nadchodzi rok 1823 i dokonuje się rzecz, którą na dobrą sprawę tylko my jesteśmy w stanie zrozumieć: tu, gdzie od setek lat wegetuje osada nad Łódką, zaplanowano nowe miasto. Trzeba to zrozumieć tak, jak zostało napisane. W tej nowej Łodzi nic nie było z przypadku; niejeden z ludzi decydujących o usytuowaniu Nowej Huty zdziwiłby się zauważając, jak drogi jego rozumowania były podobne do dróg rozumowania Staszica, Druckiego-Lubeckiego czy Rajmunda Rembielińskiego. Wzięto pod uwagę wszystko: zaplecze surowcowe (wełna), bilans sił roboczych (przeludniona wieś), dostatek wody, wreszcie usytuowanie geopolityczne nowej osady fabrycznej: bliskość granicy Królestwa Kongresowego ułatwiająca kontakt z przemysłem zachodniej Europy z jednej strony, z drugiej zaś — otwarte dla przemysłu łódzkiego niezmierzone rosyjskie rynki zbytu.

Jednakże nie piszę historii ani Łodzi ani dzielnicy Staromiejskiej. Ale bez tych trzech zdań o historii nie sposób zrozumieć tego o czym mówi najaktualniejszy plan Łodzi: klarownej sieci ulic wokół placu Wolności, ich nazw: Północna, Zachodnia, Nowomiejska. Ta ostatnia prowadziła z nowego centrum na Staromiejską, na Bałuty, na śmietnik ludzki, na który przemysłowa Łódź — pod koniec XIX stulecia już kilkuseftysięczna — wypluwała wszystko, co nie było dość mocne, aby znaleźć dla siebie miejsce w śródmieściu.

Fala nędzy, spływającej na Staromiejską rosła z każdym zachwianiem się koniunktury gospodarczej. Najburzliwszą, najwyższą notują lata trzydzieste naszego stulecia. To wtedy powstały te dzielnice, złożone z drewnianych skrzyń na ludzi i wtedy także zagęszczenie w czynszówkach — monstrach dochodziło do niespotykanych nigdzie w Polsce rozmiarów. Nie muszę tego wszystkiego opisywać, mogę to wszystko — jeszcze dziś — pokazać. Ulica Franciszkańska; nie zatrzymujcie się przy Wojska Polskiego, idźcie w głąb. Ulica Młynarska. Na jednej i na drugiej i na dziesięciu innych wtłoczone w nową zabudowę trwają — przegniłe, dotknięte miażdżycą murów, ale jeszcze potrzebne domy-klatki. To mieszkańcy tych domów wczesnym rankiem — zimą przed świtem — wylewają pod okna mieszkańców bloków — pięć pięter, światło elektryczne, parkiet, woda, kanalizacja, gaz — a więc mieszkańcom raju wylewają pod okna kubły nieczystości. Pod swoje wylewać nie mogą. Od parapetu okna do ziemi metr albo niewiele więcej; udusiłby się człowiek. Oni także — wbrew wszystkiemu co wydaje się być rozsądne — nie godzą się na budowę garażu. Mieszkańcy rudery i czynszówek wreszcie twierdzą, że wbrew statystyce i wbrew polityce w nowych blokach nie mieszkają robotnicy. A kto mieszka? Powiem.

Aby prawda była pełna, trzeba jeszcze powiedzieć, że to co zostało ze starej Staromiejskiej, to mimo wszystko — nie to najgorsze. Najgorsze było tam gdzie dziś jest park 19 Stycznia, kiedyś jedno z centrów handlowych Łodzi, w czasie okupacji centrum getta. O tym okresie mojej dzielnicy pisze Adolf Rudnicki: „...nad gettem łódzkim unosi się jeden bóg — kartofel". Miejsce to kona od pierwszej chwili wojny, kona w samotności w opuszczeniu, powiedzieć by można — nie zauważone. Rudnicki tłumaczy to faktem, że łódzkie getto, zbiorowisko dwustu tysięcy skazanych na śmierć, poddanych bezwzględnej władzy Rumkowskiego, „króla Chaima I" znalazło się na terenach włączonych do Rzeszy, izolowane od zorganizowanego elementu polskiego. Jest w tym część prawdy. Duża, mała, — nie wiem, ale tylko część. Dokopując się prehistorii Staromiejskiej spotykam człowieka, który przeżył wojnę obok. On widzi rzecz inaczej. Dla niego getto było swoistą kontynuacją, kontynuacją doprowadzoną do ostateczności, ale tylko kontynuacją tego, co tu było zawsze. Zawsze nad Franciszkańską, nad Marynarską, Józefa i ile ich tam było tych ulic i zaułków, zawsze unosił się bóg-kartofel. Bóg nędzarzy.

* * *

Czy współczesna Staromiejska to dzielnica bez wiary? Otóż — nie. Wierzy w powszechne szczęście i grzeszy. Wierzy w przykazania urbanistów — i grzeszy. Okazuje się bowiem, że wiara w powszechne szczęście nie od razu wyzwala od pierworodnego grzechu nędzy.

Pisałem gdzieś wyżej: nie pozwalają budować garaży. Nie pozwalają, mimo — czego dowodzą badania prowadzone przez łódzkich socjologów — że mieszkańcy tych bloków, rysując obraz idealnego mieszkania na trzecim miejscu — na pierwszym balkony, na drugim ogródki — wymieniają potrzebę posiadania garażu. Inteligencja? Nie tylko. Mężczyźni opętani ideą motoryzacji, która zniekształca im obraz realnych możliwości? Nie; na ankietę odpowiadały gospodynie domowe. Opór przeciw garażom to jeden z grzechów Staromiejskiej. Drugi to kubły z nieczystościami, wylewanymi pod okna sąsiadów z bloków. Trzeci, do którego wstyd przyznać się samemu sobie, to niechęć — czy tylko? — do tych, którym cieknie woda z odkręconego kranu. Czwarty to żal za gołębnikiem. Piąty — to tęsknota za czasami, w których na Franciszkańskiej, Spornej i Środkowej wszyscy byli zrównani w wierze do boga-kartofla, w których tu nikt nikogo nie nazywał hołotą, w którym wszystkie dzieci miały mieszkających w takich samych domach rodziców, wesela były świętem całej ulicy. Oto grzechy ludzi z ruder. Grzechy ludzi z bloków? To oni czatują rankami przy oknach, aby na czas przepędzić „hołotę" z kubłami pomyj. Zabraniają swoim dzieciom odwiedzania przyjaciół, zamieszkujących ciemne nory. Dzięki nim wesela przestały być świętem całej ulicy.

Przeciwko przykazaniom urbanistów grzeszy się gdzie indziej i inaczej. Przejdźcie się ul. Wojska Polskiego, idźcie nią od skrzyżowania Franciszkańską na wschód. Dostrzeżecie jak tkankę nowej zabudowy deformują pudła czynszówek, jak łamią logikę układu ulic. Zatruta grzechem przeciwko powszechnemu szczęściu jest decyzja władz, która nie zezwala na wyburzenie na podłączenia domów-monstrów do sieci kanalizacyjnej, wodociągowej, gazowej, jako że domy te trwać będą jeszcze tylko kilka lat.

* * *

Taki jest obraz Staromiejskiej. — Niepełny zresztą. Bo na tejże Staromiejskiej znajdziecie dzielnicę „czystą", klarowną w rysunku układu ulic, kolorową, o bezbłędnie rozłożonych akcentach wysokościowych, wyposażoną we wszystko to o czym marzą mieszkańcy nowych dzielnic Łodzi: balkony, zieleń, własne centrum handlowe, szkoły o krok od progu domów, ośrodek zdrowia — „własny" — biblioteka w budowie. I tu zobaczy się, że natkniesz się na trupa starego domu, ale to nie to samo co przy Franciszkańskiej, Władysława Bytomskiej, Zawiszy czy Pieprzowej. Tam zmagania dwóch formacji jeszcze trwają, tu przegrana starej Łodzi jest faktem: trup jest trupem, nowe jest nowym. Myślę o dzielnicy „Na Dołach". I wierzcie reporterowi: zmęczony wędrówką po Józefa, udręczony Marynarską szedł na Doły odpocząć. Przesiadywał na skwerku, biegnącym wzdłuż Spornej i — jak to się mówi — pasł oczy widokiem kilkunastoletnich chłopców, którzy usuwali ślady ludzkiej niedojrzałości i lenistwa, skopywali i zasiewali trawą dzikie ścieżki, biegnące w poprzek trawników, które — wiem o tym — wykonano tu w ciągu trzech dni i dwóch nocy latem ubiegłego roku, kiedy to osiedle zwiedzał jeden z dostojników państwowych. Do dzisiejszego dnia mówi się tu o tym w oczekiwaniu na inną, równie brzemienną w skutki wizytę.

A więc tu odpoczywałem. Siedząc na ławce skwerku przy Spornej czułem, że uzyskuję nową, odmienną od tej, którą posługiwałem się w ciągu pierwszych dni pobytu na Staromiejskiej, skalę ocen. Czułem, jak w miarę upływającego czasu blednie obraz Józefa 16, epitet „hołota" mniej pali, wylewane przed próg domu pomyje — bo co z nimi zrobić? — mniej cuchną. Czy to wszystko dokonało się tylko za sprawą ultranowoczesnej Spornej i Środkowej i tego co wczoraj oglądałem, odwiedzając klatki schodowe kolorowych domów — plastykowe poręcze, lastrykowe schody, obrazki uśmiechniętych twarzy na drzwiach wejściowych, wiodących do bloków z napisem „Proszę zamknąć drzwi — dziękujemy", a odwiedzałem w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: kto tu mieszka? Ależ nie. Staromiejska oglądana z ławeczki Na Dołach zmieniała oblicze. Oglądana z tej strony, od strony przyszłości ofiarowywała spektatorowi to wszystko co w niej już jest przyszłością. A więc to, że w okresie ostatnich piętnastu lat podłączono tu do sieci wodociągów blisko 600 domów, do sieci kanalizacyjnej pięćset z czymś, gaz dociera do domów trzystu. I to także, że w ciągu ostatnich lat zbudowano tu dziewięć nowych budynków szkolnych (na istniejących czternaście), pięć przedszkoli, trzy żłobki, szpital dziecięcy (najnowocześniejszy w Polsce, niechże pan o tym nie zapomni, pisząc). Rejestr powyższy nie jest pełny, pominięto w nim kina (trzy), biblioteki (trzy), poradnie rejonowe (dwie) i obwodową, dysponującą poradniami specjalistycznymi, nie uwzględniono sieci sklepów i usług.

Nuży was ta statystyka? Kogóż ona w Polsce nie nuży...

* * *

Odpoczywajmy zatem. Dzieciaki posiały trawę, na pobliski przystanek zajechał tramwaj, wchłonął oczekującą go grupkę ludzi, spomiędzy bloków wyprysnęła „Syrenka", spłynęła w dół Spornej i znikła w Wojska Polskiego. Odpoczywajmy zatem. Jeżeli jednak niepokoi cię pytanie: kto mieszka w nowych blokach Staromiejskiej — to chodź ze mną. Ale ostrzegam: być może zamącę twój spokój.

Bo kto? Szewc, który przetrwał wszystkie przemiany Staromiejskiej twierdzi, że w nowych domach nie mieszkają robotnicy. Wbrew statystyce, która dowodzi, że robotnicy stanowią 70—80% mieszkańców. Klienci szewca, którzy owego sobotniego wieczora czekali razem ze mną na przybicie „fleków" byli skłonni zgodzić się z szewcem. Komu tu przyznać rację, komu wierzyć? Ja zawierzyłbym statystyce, ale w końcu nie o mnie idzie. Nie idzie także o szew-

GDZIE PADAJĄ KULE

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

Urodził się w r. 1920. Pracę dziennikarską rozpoczął w r. 1945 w katowickim „Głosie Robotniczym", skąd — przez „Dziennik Zachodni" — przeszedł do krakowskiego „Dziennika Polskiego". W tym okresie uprawiał reportaż. W roku 1951 został redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego", następnie „Słowa Ludu" (Kielce). Do Krakowa wrócił w r. 1955.

Od 1958 pracuje w „Życiu Literackim" — dział reportażu. W roku następnym otrzymuje nagrodę „Życia Literackiego" za reportaż.

DLACZEGO JESTEM REPORTEREM?

Reporterem „stawałem się" dwa razy. Od reporterki (ściśle: reportażu) zaczynałem pracę dziennikarską. Ten gatunek wybrałem dlatego, że był on, jak wtedy sądziłem, najbliższy literaturze. Byłem człowiekiem młodym.

Od reportażu odszedłem — „bom musiał"; zadecydowały o tym odpowiednie instancje, kierując mnie do pracy redakcyjnej.

Powrót do reportażu był wynikiem świadomego wyboru, któremu pomogły te same instancje. Ale, jako że upłynęło tymczasem lat osiem, co innego wydało mi się w reportażu kuszące: nie pokrewieństwo — a może pozory pokrewieństwa — z literaturą, ale możliwość ingerencji w sferę problemów politycznych, społecznych, obyczajowych, i to w sposób, na który nie może sobie pozwolić np. polityk. (Który zawsze musi mieć rację.)

Fot. J. Głowacki

ca, chociaż jego zdania bym nie lekceważył. Idzie o to, co się powszechnie sądzi. A sądzi się — powszechnie — że w nowych domach nie mieszkają robotnicy. A w starych? W starych wyłącznie robotnicy. A jednocześnie powszechnie sądzi się, że w nowych blokach mieszkają robotnicy w porcjach — w stosunku do inteligencji — zgodnych z statystyką. Rzecz jednakże w tym, że mowa tu o sądach dwóch zespołów ludzkich, dwóch nie przenikających się kręgów. Nie przenikających w przestrzeni, przenikających w czasie. Krótko mówiąc: ci, co jeszcze mieszkają w ruderach, czekają na miejsce wśród uprzywilejowanych, ci są skłonni oskarżać wszystko i wszystkich. Ci, którzy już „awansowali" są bardziej wyrozumiali.

Tak więc sprzeczność sądów dyktowana jest tylko miejscem na Staromiejskiej? Bywa — o przedziwny kraju — bywa także inaczej. Mieszkaniec rudery dostanie nowe mieszkanie, zapłaci kaucję, koszt instalacji łazienki z przyległościami. Po roku, po pół roku na próżno szukałbyś go pod nowym adresem. Okazuje się, że na jego miejscu mieszka ktoś zupełnie inny. Jak się to stało? Tego nikt nie wie na pewno, wszyscy się natomiast domyślają, że obdarowany wymienił mieszkanie z kimś kto do tej transakcji dopłacił 30 — 40 tysięcy. Po trzech latach w wydziale kwaterunkowym dzielnicy pojawi się nowe podanie, którego trudno nie uwzględnić.

A radziłem: nie opuszczajcie wygodnej ławeczki przy Spornej. Ale skoro już poszliście ze mną, to dowiedzcie się i tego, że blisko 70% mieszkańców nowych mieszkań zamieniłoby je chętnie na inne. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że w nowych blokach, czego absolutnie nie można dojrzeć z ławeczki na skwerku, dokonuje się proces zróżnicowania gustów, umeblowania, doboru rozrywek, aspiracji. O czym marzy, i co prędzej czy później realizuje robotnik? Dwa procent robotników, mieszkańców nowych bloków, postarało się uzupełnić wyposażenie swojego gospodarstwa o pralki, 0,7% o telewizory, pozycję dotyczącą zakupu bibliotek oznaczono w statystyce cyfrą 0 przecinek 9. Odpowiednie dane, dotyczące inteligencji brzmią: 18,6%, 12,3, 11,4%. O czymś także mówi 21,1% tych robotników zamieszkujących nowe bloki, którzy domagają się uzupełnienia wyposażenia osiedli w świetlice dla dorosłych. Inteligencja wysuwa w miejsce świetlic kawiarnie. Ma swoją wymowę kształt marzeń — bo i to zbadano. Na pytanie: co kupiłbym, dysponując 6.000 zł. otrzymano odpowiedzi: telewizor — 19,7% ankietowanych, pralka — 13,8, kredens — 13,8, meble do spania — 7,2, dywan — 11,8%. Tak odpowiadali robotnicy. Umysłowi: telewizor — 31,1%, pralka — 11,9, lodówka — 9,3%. A więc kawiarnia w miejsce świetlicy. Lodówka w miejsce dywanu. Telewizor w miejsce stołowego kredensu. Być może źle mieszka się człowiekowi z kredensem obok człowieka z biblioteką.

* * *

Otóż to byłoby wszystko. Czas na bilans. Ale co tu bilansować? Załóżmy, że dodam: od siebie nędzę międzywojennych Bałut, 200 tysięcy morzonych w getcie głodem Żydów — a odejmę od tego: kilkaset nowych bloków, gaz, wodę, kanalizację, asfalt ulic, kolory osiedla Na Dołach. Czy dostanę wynik klarowny, w wymowie jednoznaczny? Sami widzieliście, że takie działanie jest niemożliwe, że coś z sumy pierwszej przeniknęło do drugiej. Nie nędza, nie wiara w boga — kartofla (ta jest dziś sprawą historii nawet dla ostatniego mieszkańca Józefa 16). A więc co?

Mgr Piotrowski pokazuje mi plany miasta, na których na linie, wyznaczające granice dzielnic narzucono setki kolorowych punktów. Map jest wiele, punkty na każdej z nich mają inną wartość. Na jednej oznaczają rozmieszczenie lekarzy. Moja dzielnica, Staromiejska, niczym szczególnym się nie wyróżnia: czarnych kółek zadziwiająco mało. Współpracownica mgr Piotrowskiego niewiele miała pracy z moją dzielnicą wyznaczając punkty oznaczające „rozrzut" pracowników naukowych, artystów. To wszystko grupuje się w granicach Śródmieścia. Ale są trzy mapy, na których ja jestem uprzywilejowany wyraźnie: zachorowalność na gruźlicę, choroby weneryczne, rozboje, włamania, kradzieże. Jeżeli przyjrzeć się planom dokładniej, mając w pamięci układ ulic, nietrudno dostrzec jak czarne punkty cofają się pod naporem nowego budownictwa, że trwają najuporczywiej tam, gdzie stara zabudowa jest najgęstsza, gdzie jeszcze decyduje o obrazie dzielnicy, gdzie najmniej zieleni. Mówię o prawidłowościach oczywistych? Wyłącznie.

A mówię tak i o tych sprawach dlatego, bo chcę, żeby wszystko w tym reportażu było jasne. A skoro tak, wypada wrócić do pokoju wiceprzewodniczącej DRN Bałuty, o której pisałem: gładka jak szkło. Teraz wiem dlaczego była gładka jak szkło. Nie dlatego, tak myślę, że obawiała się, iż nie podołam zadaniu wyważenia zasług i błędów, ale dlatego, że wiedziała, tak jak i ja wiem teraz, że istnieją pytania, na które trudno o odpowiedź. (A może są dwa albo trzy, na które odpowiedzi jeszcze nie ma). A kto chętnie staje oko w oko z takimi pytaniami? Stąd jej rezerwa, broniąca przed pytaniem: czy to wszystko co na Staromiejskiej już dokonano, da pięćdziesięciu tysiącom mieszkańców równy start do uczestniczenia w życiu społeczeństwa, które chce siebie nazwać — nie bezklasowym? Takim, w praktyce, społeczność Łodzi już jest — ale społeczeństwem ludzi wolnych od zawiści, wolnych od kompleksów jakie powstają na gruncie współistnienia raju i piekła. Raju nie zawsze zasłużonego — piekła zawsze nie zawinionego. Czy wystarczą nowe bloki, o mieszkańcach których jedna społeczność mówi: nie mieszkają w nich robotnicy, a druga: mieszkają robotnicy — i obie się mylą i obie mają rację? Czy — być może — sprawą równie ważną jak kolory na ścianach osiedla Władysławy Bytomskiej, zieleń skwerów, nie jest sprawa jasności w kwestii: kto, kiedy, za co i za ile może uzyskać wstęp do raju? Wreszcie problem kredensu i telewizora. A w związku z tym: dlaczego na Staromiejskiej czynna jest tylko jedna świetlica, a wesela — te prawdziwe, te wesela całej ulicy — odbywają się w wypożyczonym na niedzielę lokalu żłobka? Dlaczego nocą cała młodzież z Franciszkańskiej, ze Staromiejskiego Rynku, z Wojska Polskiego spływa — przez martwy, bo ciemny park „Na Siedziu" — w dół, na Piotrkowską? Czy moja Staromiejska jest i ma pozostać — jak to ktoś określił — osiedlem — sypialnią? Wiara w „boga-kartofla" zastąpiona wiarą w „boga-chleb z masłem"?

* * *

Jeżeli w tym reportażu ma być wszystko jasne, trzeba sprostować jeszcze i to: nikt „na górze" nie dał się nabrać. Czytelna jest intencja ludzi, którzy otworzyli przed „obcymi uszami i oczyma" mury miasta: przyjedźcie i zobaczcie jak dokonuje się metamorfoza miasta — dodatku do maszyn, w miasto, o którego kształcie decydują potrzeby człowieka. Przemiana trudna, realizowana na korpusie miasta żywego, kosztowna, dokonywana między wymogami dnia dzisiejszego, a wymogami jutra. W tym dziele dokonano wiele, więc tym „wiele" chciano się pochwalić i nic więcej? Tak pisząc chyba skrzywdziłbym „górę". Tatarkówna strzela — a gdzie padają kule? Tego chciano się chyba także dowiedzieć. Oto — gdzie kule padają.

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

WSZYSCY ZADOWOLENI Z KONKURSU TZN. RADA NARODOWA, REPREZENTOWANA PRZEZ WICEPRZEWODNICZĄCEGO PREZYDIUM PROF. ROMANA KACZMARKA, WSPÓŁORGANIZATOR KONKURSU „ODGŁOSY" REPREZENTOWANE PRZEZ NACZELNEGO REDAKTORA WIESŁAWA JAŻDŻYŃSKIEGO I LAUREACI JANUSZ ROSZKO (PIERWSZY Z PRAWEJ), JERZY AMBROZIEWICZ (DRUGI Z PRAWEJ), STEFAN BRATKOWSKI W ŚRODKU POMIĘDZY PROF. KACZMARKIEM I REDJAŻDŻYŃSKIM I FELIKS BĄBOL.

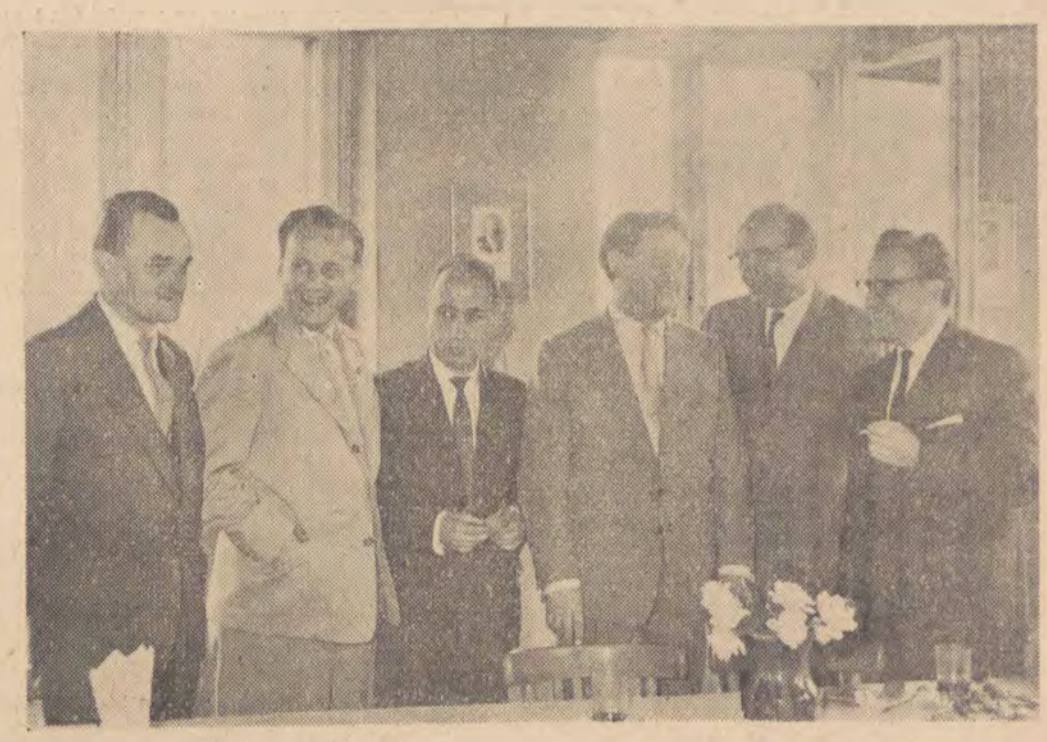

A OTO POWÓD ZADOWOLENIA LAUREATÓW. LUKRATYWNE NAGRODY. RED. JANUSZ ROSZKO (CHOWA NAGRODĘ DO KIESZENI), RED. STEFAN BRATKOWSKI (ODBIERA JĄ Z RĄK WICEPRZEWODNICZĄCEGO PREZYDIUM RN M ŁODZI PROF. R. KACZMARKA, RED. FELIKS BĄBOL (ZNUŻONY OCZEKIWANIEM NA WRĘCZENIE)

FINIS CORONAT OPUS

TADEUSZ GICGIER

* * *

Dogasa już chrust świerków na wierzchołkach gór,
dopalają się resztki lata,
mgły jak dymy staczają się w dolinę,
okrywają płaszczem płaski strumień,
lecz strumień płaszcz ten strząsa w pogoni za sierpniem

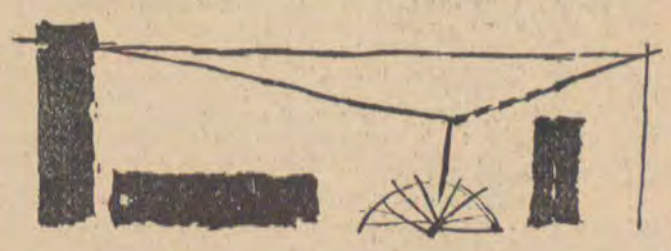

*

Wiatr, który po mej twarzy znów łagodnie spływa,
zapach wilgotnej ziemi, mokrego igliwia,
słońce mżące w przestrzeni światłem przytłumionym —
ten kwiecień to listopad dziś pokryty szronem.

Jesteś w wietrze i w liściu, co właśnie się rodzi,
w zatopionym kamieniu i w kręgach na wodzie,
w nucie, wyprowadzonej przez ptaka z chaosu,
w czarnym niebie podróżnych w rejony kosmosu,

* * *

Ta śmierć jest przywilejem, królewskim nadaniem,
łaską władcy, co minął się z swym powołaniem,

ziemskim niedopatrzeniem jest ta śmierć obłoczna,
bo śmierć to nieprzeciętna, śmierć to niepotoczna,

śmierć pozorna, wpół letarg, pozorne uśpienie,
rąk łagodna ospałość, ust rzewne błądzenie,

oczy rozwarte w ciemność, oczy niewidzące,
i znów ręce łagodne i usta błądzące.

Tą śmiercią życiodajną, nagłą, niespodzianą,
jest śmierć dwojga kochanków, co zbudzą się rano.

*

i w biedronce, co skrzydła wysoko zawiesza,
jak ty rzęsy, gdy dziwisz się lub nie dowierzasz.
Jesteś w narcyzach, chłodnych od porannej rosy,
w wodorostach miedzianych jak twych włosów kosmyk
w tętnie powszedniej chwili, co umiera płynnie.
jesteś wszędzie, a tylko nie ma ciebie przy mnie.

1961.

JERZY WILMAŃSKI

CO PAN WIE O...?

Postanowiliśmy przeprowadzić telefoniczną ankietę wśród ludzi noszących nazwiska historyczne. Ot, po prostu chcieliśmy sprawdzić co panowie Sienkiewicz czy Szaniawski wiedzą o swoich wielkich imiennikach i czy w ogóle cokolwiek wiedzą.

Niestety, okazało się, że zwłaszcza panie (inżynierowe, doktorowe) przyjmowały nasze pytania jak szczególnie zaskakującą rewelację. Odpowiedzi w rodzaju: „Moje nazwisko jest historyczne? Pierwsze słyszę" — nie były specjalną rzadkością.

Właśnie dlatego zdecydowaliśmy się umieszczać przed każdą rozmową krótkie notki biograficzne znanych imienników naszych rozmówców.

Przypominamy więc — nasze pytanie brzmiało: „Co pan (pani) wie o...?

Klemens Junosza - Szaniawski (1849—98) powieściopisarz, nowelista, redaktor „Wędrowca"; twórczość jego, to charakterystyczne obrazki kreślone na tle życia zubożałej szlachty zaprawione dużą dozą liryzmu i humoru. Wydał: „Pająki", „Czarne błoto i inne.

Jerzy Szaniawski (ur. 1877) wybitny dramaturg współczesny, autor licznych sztuk o problematyce przede wszystkim psychologicznej. Znane są „Adwokat i róże", „Żeglarz", „Dwa teatry", również opowiadania np. „Profesor Tutka" (cykl drukowany w swoim czasie w „Przekroju").

Szaniawska Jadwiga, Lipowa 33.

— No wiem, wiem. Np. Junosza Szaniawski był znanym pisarzem, ale to dawno, gdzieś w XVII wieku. No i żyje też inny pisarz Jerzy Szaniawski. Coś więcej? Nie, nie wiem.

No cóż niewiele. Ale dobre i to. Zwłaszcza, że o Klemensie Szaniawskim nikt już właściwie nie pamięta.

Zenon Przesmycki Miriam (1861—1944) krytyk literacki, poeta i tłumacz, przedstawiciel „Młodej Polski" redaktor czasopisma „Chimera", „Życie". Zebrał i wydał dzieła Norwida. Znane utwory: „Pro arte", „Z czary młodości".

Przesmycki Karol, Piotrkowska 226. Odpowiada żona.

— A tak, tak, wiemy. Przesmycki to był pisarz. No i był z nami, to znaczy z mężem spokrewniony. Coś więcej? No był pisarzem... Nic nie wiem więcej.

Spróbujmy jednak dać spokój na razie literaturze, a poszukać jakiegoś nazwiska z historii.

Bohdan Chmielnicki (1543—1657) przywódca walki wyzwoleńczej Kozaków. W roku 1648 stanął na czele zbrojnego powstania w wyniku którego doprowadził do wyzwolenia lewo-brzeżnej Ukrainy. Znany również z „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza.

Chmielnicki Witold, 10 Lutego 6/10. I znów odpowiada żona.

— Niestety, nie ma męża. Czy ja wiem? Nie proszę pana, wolałabym, żeby to mąż...

Chmielnicki Leon, Kilińskiego 164.

— Męża nie ma. A ja? Nie, to są męża sprawy, ja nic nie wiem.

Karol Marks (1818—83) twórca socjalizmu naukowego, przywódca I Międzynarodówki, jeden z najwybitniejszych umysłów czasów nowożytnych. Twórca wielu dzieł naukowych, między innymi słynnego „Kapitału" w którym poddaje wyczerpującej analizie ekonomikę społeczeństwa kapitalistycznego. Wspólnie z Fryderykiem Engelsem napisał Manifest Komunistyczny.

Helena Marks, Kopcińskiego 40.

— Co wiem o Marksie? No ja się tak nazywam, a mój mąż, proszę pana,... (następuje dłuższa relacja z okresu okupacji). Ja proszę pana mówię w pracy, że jestem wnuczką Marksa, ale to nieprawda i zresztą nikt nie wierzy. Coś o Marksie powiedzieć? Nie jestem przygotowana, ale przecież kończyłam szkolenie I i II stopnia, to wiem. Nie, nic. Nie jestem przygotowana.

Hm. Przy okazji dowiedzieliśmy się jaką wartość mają w pewnym zakładzie pracy — szkolenia. Wróćmy wobec tego do literatury.

Teofil Lenartowicz (1822—93) poeta i rzeźbiarz. W twórczości jego liryzm łączy się z gorącym uczuciem patriotyzmu. Wiele utworów zostało spopularyzowanych jako teksty pieśni, (Kalina). Wydał między innymi „Echa nadwiślańskie", „Polska ziemia w obrazach".

Lenartowicz Szczepan, Drukarska 13. Odpowiada córka.

— Nie ma w domu tatusia ani mamusi. Co ja wiem o Lenartowiczu? To był poeta polski. Mnie się bardzo podobają jego wiersze, a zwłaszcza jeden pt. „Kołysanka". Chodzę do siódmej klasy i koleżanki się śmieją, że mam pradziadka poetę, ale to chyba nie była nasza rodzina. Lenartowicz był też rzeźbiarzem... Musiał uciekać z Polski, bo car go prześladował.

No tak. Nie jest wcale dziełem przypadku, że pierwsza mniej więcej pełna odpowiedź wyszła z ust uczennicy. Jest to chyba ilustracja powiedzenia o cudownych, mądrych dzieciach przekształcających się z czasem w przeciętnych dorosłych. Dzieci widzą jeszcze to i owo, bo są do nauki zmuszane. Dorosłym niestety nie grozi dwójka.

Michał Glinka. (1804—57). Kompozytor, twórca i pierwszy klasyk rosyjskiej muzyki narodowej. Znane opery oparte na ludowych motywach: „Ruślan i Ludmiła", „Iwan Susanin", i inne.

Zofia Glinka, Piotrkowska 80.

— Wiem, że był to rosyjski kompozytor. Twórca między innymi bardzo znanej opery „Ruślan i Ludmiła" według poematu Puszkina. To nazwisko, to nie tyle moje, ile męża. Teściowa nawet twierdzi, że Michał Glinka był z pochodzenia Polakiem i że właśnie my jesteśmy spokrewnieni z tym rodem. Często się w domu o tym mówi, ale przyznam się panu, że ja w to nie wierzę.

No i proszę, przypadkowo odkryliśmy w Łodzi rodzinę wielkiego kompozytora. Proszę zwrócić uwagę, jak często ludzie powołują się na pokrewieństwo ze znanymi postaciami. Ale w końcu Glince to nie przeszkadza. A zawsze to przyjemnie mieć artystę w rodzie.

Jan Długosz (1415—80) Kanonik krakowski i sandomierski. W roku 1467 został wychowawcą synów Kazimierza Jagiellończyka. Znakomity historyk polski Napisał wiele prac — sławę zapewniły mu „Dzieje Polski".

Długosz Czesław, Obywatelska 41/43, blok 6.

— Ja proszę pana nic nie mogę powiedzieć, dopiero jak wróci zięć to może z panem porozmawia.

Długosz Władysław, Zakątna 30.

— No, trochę wiem. Był kronikarzem, pierwszym polskim historykiem. Poza tym był wychowawcą synów Jagiellończyka. Proszę pana, w Sandomierzu to stoi jeszcze dom w którym mieszkał. Aha, to był ksiądz — wtedy wszyscy wykształceni byli duchownymi.

Bardzo ładnie. I proszę sobie wyobrazić, że mówi to nam nie żaden mgr czy dr, ale po prostu rzemieślnik, mistrz cholewkarski. Jak widać wiedza nie zawsze idzie w parze z tzw. cenzusem.

Henryk Sienkiewicz 1846—1916) powieściopisarz i nowelista. Jeden z najpoczytniejszych pisarzy w skali światowej. Laureat nagrody Nobla. Znane są między innymi „Krzyżacy", Trylogia, „Listy z Ameryki".

Sienkiewicz Mieczysław, Próchnika 21.

— Pewno, że wiem. Całą Trylogię znam niemal na pamięć. Sienkiewicz urodził się na Podlasiu, potem dużo podróżował. Nawet kiedy Rogoziński szykował wyprawę, Sienkiewicz pomagał mu przezwyciężyć trudności. Panie, ja wszystkie dzieła Sienkiewicza znam i tak myślę, żeby z tego filmy robić. Francuzi to wszystkie utwory czy Hugo, czy Dumasa sfilmowali, a u nas to tylko „Krzyżaków". Czy to moja rodzina? Wie pan nie chce się podszywać, ale też jestem z tamtych stron, więc kto wie, może... Tylko, że nasze wszystkie papiery zaginęły...

Kto wie, a może to istotnie daleka rodzina popularnego pisarza? Ale cieszy co innego. Nasz rozmówca wie nie tylko o Sienkiewiczu (któż o nim nie wie) ale i o Rogozińskim. A był to żyjący w tym samym czasie co pisarz — podróżnik, organizator i kierownik wypraw do Kamerunu, które przyniosły pierwsze wiadomości o życiu i obyczajach tamtejszych plemion murzyńskich.

Marcin Kasprzak. (1869—1905). Wybitny działacz rewolucyjny, współtwórca „Drugiego Proletariatu", członek SDKPiL. W roku 1901 aresztowany w Warszawie, skazany na śmierć. Zginął na stokach Cytadeli Warszawskiej.

Kasprzak Maria, Przędzalniana 98.

— Niewiele wiem, proszę pana. To był polski rewolucjonista, żył gdzieś na przełomie XIX i XX wieku. To tyle, więcej nie wiem...

WNIOSKI

Wniosków właściwie nie będzie. Trzeba by nie lada tupetu, aby próbować uogólniać te parę przypadkowych wypowiedzi. No bo jakiż można z tej ankiety wyciągnąć wniosek? Że ludzie mało wiedzą? Ale czy to prawda?

Jeżeli pan doktór jest dobrym chirurgiem, czy mamy prawo wymagać od niego aby potrafił opowiedzieć o buncie kozackim w XVII wieku? Jeżeli pani magister dobrze wykonuje swą pracę w biurze czy laboratorium, czy musi być „obiatana" w sprawach, powiedzmy, literatury?

A w ogóle to nasza ankieta wyszła dość nietypowo. Najwięcej i najmętniej odpowiadali młodzież i ludzie raczej nie związani zawodowo z pracą umysłową. Z największą ignorancją spotkaliśmy się dzwoniąc pod numery, obok których widniały dumne literki naukowych tytułów. Dlatego boimy się uogólnień.

Właściwie tylko jedną wspólną cechę można znaleźć dla naszych rozmówców. Większość chętnie przyznaje się do pokrewieństwa ze znanymi postaciami. Ale przecież szukanie w rodzie znanych ludzi to „hobby" równie dobre jak zbieranie znaczków. Gdyby wszyscy mieli takie hobby, nie słyszelibyśmy tak często pytania: „Moje nazwisko — historyczne? Pierwsze słyszę".

Fot. J. Kopeć

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Czym jest HEL?

Wiadomo: półwyspem na najbardziej północnym krańcu Polski. Ten wrzynający się w morze piaszczysty cypel o długości 45 km i przeciętnej szerokości około półtora mógłby być jednym z najatrakcyjniejszych parków narodowych w naszym kraju, gdyby... właśnie „gdyby". O tym pragnę napisać z żalem kilkanaście.

Stefan Żeromski, najczulsze i najczujniejsze serce ojczyzny, nazwał go najtrafniej: „Międzymorzem". Poświęcił mu w zaraniu niepodległości po okresie niewoli całą książkę pod takimż tytułem, w której opisał całą jego historię, legendę i prawdę, egzotykę i urodę. Zdawałoby się: cóż można więcej dodać? I któż zdoła powiedzieć cokolwiek nadto, co już powiedział o tym helskim międzymorzu Żeromski?

A jednak czas robi swoje. W ciągu tych czterdziestu bez mała lat od napisania przez Żeromskiego „Międzymorza" — najczarowniejszej książki o najczarowniejszym zakątku naszego kraju — półwysep helski zmienił się nie do poznania. Na lepsze? Niestety — na gorsze! A dlaczego — opowiem.

Byłem pierwszy raz na Półwyspie Helskim w roku 1930, a więc mniej więcej dziesięć lat po napisaniu przez Żeromskiego „Międzymorza". Patrzyłem na przyrodę helską jego oczami — i wszystko w rzeczywistości zgadzało się z tym, co było opisane w jego książce — pierwszej i ostatniej w literaturze naszej epopei o tym półwyspie. Żeromski opisał nie tylko przyrodę Helu, ale i ludzi — dziś i z przyrody i z ludzi dawniejszych zostały tu tylko szczątki.

Niby miejscowości są te same: Wielka Wieś u nasady mierzei, potem w odstępach kilkukilometrowych: wieś rybacka Chałupy, osada rybacko-letniskowa Kuźnica, osada letniskowa z portem rybacko-pasażerskim Jastarnia, osada wyłącznie letniskowa Jurata, wreszcie puszczański Bór i na samym krańcu półwyspu starodawna osada i jego jakby stolica, Hel, z obszernie rozbudowanym portem rybacko-pasażerskim. Wszystkie te osady, to stare i czcigodne, bo liczące po kilka wieków, uparte na tym ubogim wydmuchu morskim, siedliszcza ludzkie, ale jakże zmienione w ciągu ostatnich trzydziestu lat! W co? W zbiorowe, ohydne śmietniska. Niestety, tak jest: w śmietniska! Ktoś powie na pociechę, że to tylko w sezonie letnim: w lipcu i sierpniu. Owszem, ale tych dwóch miesięcy dość, aby zostawić ślady na cały rok. Na przyrodzie Helu, na jego roślinności przede wszystkim, na jego drzewostanie.

Znam Hel od początku do końca. Zszedłem go pieszo różnymi laty od nasady półwyspu po sam jego kraniec — świetlistą plażę helską. Zwędrowałem także jego brzegi od strony morza i od strony zatoki. Tuż przed wojną podziwiałem piękne partie leśne z gęstym podszyciem, przeważnie rosłe sosny, ale także olchy, brzozy, buki i dęby. Dziś z dawnego tęgoboru pozostały jedynie nędzne resztki między Jastarnią i Juratą i niewielkie kępy starodrzewu około latarni morskiej na Helu. Pozostałe tereny to przerzedzone i rachityczne połacie młododrzewu, wydeptywane i okaleczone nożami przez kohorty rozwrzeszczanych dziko wycieczkowiczów.

Owszem, to ostatnia wojna zapoczątkowała tę przerażającą dewastację Helu. Nie tylko jego przyrody, ale i jego ludzi. Dwa walce wojenne we wrześniu i październiku roku 1939, kiedy bronili się tutaj Polacy, i wczesną wiosną 1945 roku, kiedy tutaj bronili się Niemcy — przeorały ogniem pocisków, drutami zasieków, żelastwem i betonem bunkrów, schronów i przekopów cały półwysep wzdłuż i wszerz. Nie ostały się wtedy najpiękniejsze okazy przyrody helskiej, część podcięła siekiera pod umocnienia obronne, resztę skosiły pociski z lądu, z morza i z powietrza. Także i ludzi, dawnych Kaszubów, starowiekowych autochtonów helskich wymiotły prawie do szczętu owe podmuchy wojenne, okrutniejsze od najsroższych wichrów i nawałnic morskich — większość z nich wywieźli Niemcy przymusowo aż gdzieś pod Holandię na wieczny niepowrót. Po wojnie nieznaczna część z nich ocalała i powróciła — reszta po tych osadach o starych nazwach to ludzie nowi, bez dawnego sentymentu i osiadłego przywiązania tubylców.

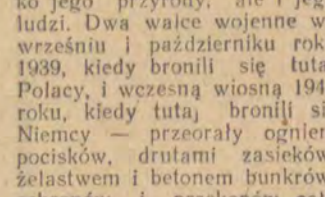

Ten nowy typ mieszkańca półwyspu nie dba o dawną tężyznę jego zawziętej przyrody, bo jej po prostu z dawnych czasów nie pamięta i nie zna. Ten nowy typ mieszkańca półwyspu wyciąłby bez żalu resztę drzewostanu i rozbudował cały półwysep w jedną letniskową ulicę ze skwerami kempingowymi po bokach, zaś plaże podbrzeżne zabudowałby kioskami i kabinami kąpielowymi. Oto przyszły obraz Helu za kilka dziesiątków lat — obym był złym prorokiem! Niestety, wszystko wskazuje na to, że ten idealnie egzotyczny park narodowy, jakim mógłby stać się Półwysep Helski, gdyby zlikwidować tutaj kolej i autostradę, ograniczyć rozbudowę domów i urządzeń letniskowych do rozmiarów godziwych proporcji oraz przywrócić przyrodzie jej pierwotny charakter — stanie się wkrótce ogołoconym doszczętnie jeszcze jednym rozbudowanym niechlujnie i bezładnie, jazgotliwym i rozwrzeszczanym, brudnym i zaśmieconym mieściskiem — osiedlem prowincjonalnym.

Ratujmy Hel przed ostateczną zagładą jego sensu, to znaczy jego pierwotności. Zastanówmy się, czym jest Hel? Czym powinien być, a czym może się stać? Z Helem jest podobnie, jak z Puszczą Jodłową. Żeromski pisał o niej, że nie jest ani moja, ani twoja,

tylko nasza, wspólna i tak zostać powinna dzika i nienaruszona, pierwotna jako żywa księga archaicznej, choć wiecznie młodej, przyrody — podobnie jest z Półwyspem Helskim, słonecznym międzymorzem — symbolem zawsze zwycięskiego życia nad odchłanią wiecznie niszczącego żywiołu.

Aleksandria — i tam wyjeżdżają Polacy. Foto: L. Olejniczak.

TA PANI jedzie do KANADY

Dalszy ciąg ze str. 2

— Niektórzy nawet nieznośni.

— Mogłaby pani bliżej określić tych niektórych?

— Dyrektorzy i kierownicy.

— Dlaczego oni?

— Prawdopodobnie przywykli do tego, że w swoich zakładach i instytucjach są pierwszymi po Bogu i nie

mogą się pogodzić z tym, że tutaj traktujemy ich na równi z wszystkimi innymi interesantami.

DOKĄD JEŻDŻĄ ŁODZIANIE?

Sezon w pełni. Przez biuro Sekcji Paszportów Komendy MO miasta Łodzi przewija się dziennie 200-300 osób. Z małym ryzykiem można stwierdzić, że łodzianie jeżdżą wszędzie, pomijając Arktykę i Antarktydę. Jeżdżą do Maroka, Kenii, Kuby, Iraku, Wenezueli, Kolumbii, Sudanu. Wymieniam tylko te bardziej egzotyczne kraje. Najwięcej wyjeżdża do krajów socjalistycznych, szczególnie do Bułgarii. Ilość wyjazdów wzrasta, za co należy pochwalić Orbis. Wyjazdy orbisowskie przyczyniają się do zawierania zagranicznych znajomości, co pociąga za sobą wzrost ilości zaproszeń nadsyłanych z różnych krajów.

Rekordzistami w ilości wyjazdów są nadal zeszłoroczni rekordziści: Jerzy Rutowicz — pracownik Filmu Polskiego i Wilhelm Tomesz — członek Zarządu Głównego Stowarzyszenia Czechów i Słowaków w Polsce.

Pomijając wyjazdy służbowe i orbisowskie, wyjechało już w tym roku do połowy czerwca ponad 1300 osób. Za sprawą Orbisu wyjechało już przeszło 1000 turystów. W analogicznym okresie roku ubiegłego skorzystało z orbisowskich wyjazdów ok. 700 turystów. Tak więc wzrasta również ilość wyjazdów organizowanych przez Orbis.

CIEKAWOSTKI NIE TYLKO MAŁŻEŃSKIE

Zdarza się, że kandydat do zagranicznej podróży prosi o paszport dla psa a nawet dla krowy — ulubionej Krasuli. Z tego rodzaju paszportami jest gorzej. Wyjazdy zwierząt nie są przewidziane przepisami ze względu na groźbę przewozu chorób zakaźnych. Człowiek iluż to poddaje się szczepieniom ochronnym, gdy wyjeżdża do takiej np. Australii. Ponoć niektórzy te szczepienia odchorowują. Nikogo to jednak nie zraża. Wyjeżdżają ludzie poza granice państw ościennych i na stałe.

Na stałe wyjeżdżają ci, których bliscy krewni gdzieś tam w świecie potrafili się urządzić, no i ci, a raczej te, które wydały się za kawalerów z Polonii zagranicznej, albo za obcokrajowców czystej krwi. Śluby zawierają najczęściej po dość krótkiej znajomości, lub po prostu na odległość, czyli prawie „w ciemno". Egzotyka obcych krajów jest w takich wypadkach argumentem dość ważkim, ale i ryzyko jest duże. Wypadki powrotu po takim wyjeździe na stałe nie należą bynajmniej do osobliwości. Wracają do „niedobrej" macierzy.

Pewna pani np. zawarła związek małżeński z Polakiem — obywatelem Stanów Zjednoczonych. Znała go przed tym dwa tygodnie i wyjechała z nim za ocean. Znajomi powiedzieli: — „Wiadomo USA, wiadomo dolary". No i były dolary, było wygodne wieloizbowe mieszkanie, słowem były

USA, ale pani owa dość szybko wróciła. Mąż okazał się po jakimś czasie kimś, z kim nie mogła żyć ze względu na krańcowo różne zainteresowania, a trudności językowe i poczucie obcości w nowym środowisku dokonały reszty. Cóż, szukają ludzie szczęścia. Bądź co bądź pani owa odbyła podróż za ocean, była w USA. Wyobrażam sobie, jak by to pewna moja znajoma zadzierała nosa po takim rejsie.

NERWY, NERWY...

Szybkość załatwiania formalności paszportowych jest jednak daleka od szybkości ponaddźwiękowej. Trwa to tygodniami i miesiącami. Ludzie się niecierpliwią. Wzrasta liczba wyjeżdżających, ale i interwencje się mnożą. Kierowniczka Sekcji Paszportów — Janina Omąkowska podchodzi do tych interwencji bardzo wyrozumiale. Wiadomo, że każdy interweniuje we własnym interesie i nie ma się czemu dziwić. Lepiej by jednak było, gdyby zamierzający wyjechać za granicę rozpoczynali załatwianie formalności raczej wcześniej niż w czasie przypuszczalnie wystarczającym na ich załatwienie. A kiedy je rozpoczynać, można się zawsze poinformować w Sekcji Paszportów.

Kiedy wychodzę z gabinetu kierowniczki, do poczekalni wkracza triumfalnie ów chłopiec, który na polecenie ojca szukał mamy. Za nim idzie kobieta z dzieckiem na ręku.

— Tato, jest mama — obwieszcza chłopiec. Zirytowany tata biegnie na ich spotkanie.

— Człowieku, gdzieś ty się podziewała?! — zwraca się do kobiety.

— No to nie wiesz, gdzie?

Przecież mówiłam, że idę z dzieckiem na stronę.

— Przez tę stronę musiałem tu sterczeć godzinę ponad plan!

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

Na pokładzie. Foto: L. Olejniczak.

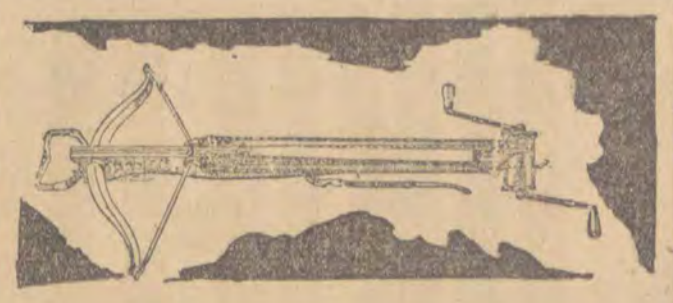

STANISŁAW KASZYŃSKI

Rendez-vous z historią

O tym domostwie, wbitym od wieków w róg krośniewickiego rynku, głośno już w całej Rzeczypospolitej. Sądząc po nazwiskach i rysunkach, zdobiących sztambuch jego gospodarza, mgr Jerzego Dunin-Borkowskiego, zaglądało tu wiele zacnych głów, od profesorów, ambasadorów i ministrów do przeróżnych maniaków-zbieraczy. I łódzki Klub Miłośników Książki czyli, jak mówią wtajemniczeni, Klub Michała Kuny (serce i dusza tej „Jerajny" przyjął skwapliwie zaproszenie i zjechał potężną gromadą w gościnne podwoje. Chociaż nie godzi się prezentować mecenasów pochlebstwami pod adresem ich kuchni, to nie sposób zapomnieć, iż słynie ten dom z przednich potraw i napitków. Ostatecznie było się tam i można ręczyć za prawdziwość informacji. Jak by więc zacząć te wrażenia, żeby zatrzymać nastrój i aromat tych godzin, spędzonych pośród pamiątek pokoleń? Proszę pójść za mną.

Do salonu prowadzi długa sień, a potem drewniane strome schody, nakryte łukowym sklepieniem. To pierwszy akcent miłego zdziwienia. Kiedy otwieracie drzwi, stajecie natychmiast olśnieni, półprzytomni. Wąziutki przedpokój wciąga was z miejsca w wir przeszłości. Płótna, sztychy, malunki, zbite i rozkrzyczane barwami, gestami, ostygłymi uśmiechami. To dopiero początek baśni. Trzeba rozewrzeć jeszcze jedne drzwi, by zmierzyć się z cieniami odeszłych ludzi, po których zostało tyle urzekających śladów. Zadaję sobie pytanie: ile takich wnętrz zachowało się w tym kraju? Na ścianach, jakby oniemiałych z zachwytu i ciężaru tradycji, portrety, medaliony, makaty, tu i ówdzie stara broń, przyczajona pod zetlałym matowym lustrem cynowe puszki i dzbany tłumią drżenie dawnych monet i ciągle się zdaje, że krzyżują się z ram spojrzenia i wspominki. Ależ tak! Nie może być inaczej. To przerwana historia, pomyślałem sobie, wdzięczy się o pobłażliwość wnuków. Zdążyłem już zajrzeć do książek Wasylewskiego, mam sentyment do króla Stasia, wczuwam się w rytm menueta i szmer rokokowych koronek, więc dobrze mi tu. Nie rażą mnie nawet kwieciste mowy gospodarza i gości, traktuję je jako niezbędną nutę w sarmackiej tonacji. Jeszcze dziś, pozostaję tak rozkołysany tą atmosferą, iż nie umiem posługiwać się językiem prostej relacji. No cóż, o krośniewickim miłośniku starożytności powinna się ukazać specjalna publikacja, gdzie biografia człowieka nabrzmieje dziejami narodowej kultury.

Bo proszę pomyśleć. W kujawskiej mieścinie, gdzie zapewne dużo wody i nudy, pewien magister farmacji zaczyna pieczołowicie gromadzić wszelakie pamiątki, dosłownie wszystko, co by przekazywało jakiś okruch wiedzy o minionych czasach. Zamiłowanie? Pasja? Szaleństwo? Gdy pomimo trudności i kłopotów piętrzy się z uporem w ciasnym mieszkaniu setki szpargałów i przedmiotów, to jest w tym coś niezwykłego, dużo samozaparcia i świadomości obywatelskiej. Upewniam się w swoim przypuszczeniu, kiedy gospodarz prowadzi nas do księgozbioru, ulokowanego częściowo w magazynie-laboratorium... apteki. Cóż za niezwykła symbioza — między pachnącymi miksturami i ziołami leżą w stertach pyszne, rarytne książki, rękopisy, starodruki, unikaty sztuki, wywołujące raz po raz okrzyki zachwytu i radości. Przestajemy się dziwić, że medykamenty okazują aż taką cierpliwość. W takim towarzystwie! Ostatecznie łatwiej pojąć niefrasobliwość czy stoicyzm rzeczy martwych niż człowieka. Okazuje się, że sam zbieracz posiada tę cnotę, nawet kiedy opowiada, iż w tymże skrzętnie wypełnionym budynku urzęduje mistrz brzytwy i nożyczek i żadna siła (jak dotąd) nie może go przeprowadzić do innego lokalu. To też swojski paradoks naszego życia. Ale stopniowo zaczynam chwytać pobłażliwość magistra wobec podobnych curiosów: kiedy porywa i codziennie unosi człowieka fala historii, nietrudno już wypracować w sobie taki dystans do spraw bieżących. Nawet tak przykrych i absurdalnych.

Nie będę tu notował tytułów kartkowanych dzieł, ani cytował pięknych, ze znawstwem i sentymentem wygłaszanych komentarzy kustosza do każdego zabytku, które w sumie dają właśnie ów nieprzekazywalny urok krośniewickiego muzeum. Zresztą kto ciekaw, niech jedzie i zobaczy. Magister chętnie wita u siebie wszystkich podobnych do niego: zbieraczy i miłośników przeszłości. Warto przeżyć tam choć kilka godzin, bo tego nie zastąpi żadne t. zw. zwiedzanie zabytków. Tutaj, w krośniewickim skarbcu, korzysta się w pełni z cudownego przywileju DOTYKU. Cóż to za pański gest gospodarza, dziedziczony pewnie po jego przodku, Bacciarellim.

A ilekroć teraz przechodzę koło fryzjera, przypominam sobie stare domostwo krośniewickie, mieszczące tyle pamiątek i wspomnień... I wytwornego pana o łagodnym spojrzeniu, który odważył się być wierny jednej namiętności.

CUKIER może być słodki

(V)

Wylądowaliśmy gładko, mimo że zapadał już zmierzch. Poprowadziłem maszynę w kierunku rzeki i wyłączyłem motory. Wysiedliśmy. Gorące, wilgotne powietrze odurzyło nas od razu. Z dżungli dobiegały piski kłócących się małp i ostre pokrzykiwania papug. Na brzegu rzeki stała — byle jak sklecona chata. Wyszli z niej czterej mężczyźni i błysnęli latarkami.

— Kto tam?

— Przyjaciele! — odpowiedział sprzedawca broni.

Mężczyźni powitali go hałaśliwie. Mieli brudne brody i nowoczesne karabiny w ręku. Anténor zaproponował, aby obejrzeć broń. Porucznik Montez pod którego opieką znajdowała się kasetka ze stu tysiącami dolarów otwierał kolejno skrzynie. Broń była pieczołowicie zapakowana, naoliwiona, jakby wyszła wprost spod maszyn.

Zaczęło się ładowanie. Krótko przed północą ostatnia skrzynka zniknęła w pomieszczeniach samolotu.

— Koniec! — oświadczył Anténor. — Proszę o pieniądze poruczniku.

— Jeszcze nie, senor. Dopiero, kiedy będziemy w powietrzu. Rozkaz generała.

Pedraza jest ostrożnym człowiekiem — pomyślałem. Ale nie dosyć ostrożnym...

— Kiedy startujemy? — zapytał Anténor.

— O ósmej — powiedziałem. — Trzeba się wyspać.

KTO MA STRZELIĆ PIERWSZY?

Mężczyźni ułożyli się tam, gdzie akurat stali. Porucznik tajnej policji Batisty poszedł do samolotu. Anténor otulił się kocem. Ułożyłem się tuż przy nim, obok ogniska i spoglądałem w dogasające płomienie. Nie mogłem spać. Jutro wieczorem w kwaterze głównej w Hawanie oczekiwać nas będzie gen. Pedraza. Nas i broń... W tym samym czasie 500 mil na wschód na tajnym lotnisku w prowincji Oriente czekać będzie też na nas Camilo Cienfuegos ze swymi barbudos, aby przejąć broń. Tak umówiłem się z łącznikiem partyzantów. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie porucznik Montez... A przecież był też Anténor, sprytny handlarz oraz ludzie z nerwowymi palcami na cynglach karabinów. Co prawda Anténor zapewniał mnie, że jest sympatykiem Fidela, ale czyż nie zgodził się niezwykle szybko na sprzedaż broni Batiście? Czy mogę liczyć na jego pomoc — przeciw Montezowi i jego ludziom? Tu na dole, w dżungli, byłem bezsilny. Ale kiedy znajdziemy się w powietrzu będę ich miał wszystkich w ręku: Anténora, Monteza, żołnierzy. Z tą myślą zasnąłem...

Handlarz bronią zbudził mnie przed ósmą. Przeciągnąłem się i wstałem. Porucznik Montez oczekiwał nas już na drabince przyczepionej do samolotu. Za nim stali jego ludzie.

— Vamos, senor! — zawołał niecierpliwie. — Naprzód, ruszamy!

Przecisnąłem się wąskim przejściem między stertami skrzyń, otworzyłem drzwi do kabiny i nagle usłyszałem głuche uderzenie, stłumiony jęk oraz głośny trzask. Błyskawicznie schowałem się za skrzynkę, wyciągnąłem pistolet i obejrzałem się...

W przejściu, leżał bez ruchu porucznik Montez. Tuż za nim stał Anténor z żelaznym drążkiem w ręku. Schylił się, podniósł pistolet maszynowy Monteza i pobiegł ku wejściu, gdzie akurat ukazywała się głowa pierwszego z sześciu żołnierzy eskorty. Anténor podniósł broń, nacisnął cyngiel i nie puścił go dopóki cały magazynek nie opróżnił się.

Kilka sekund przytłaczającej ciszy. Handlarz obrócił się w moją stronę. Zmiana magazynku. Byłem gotów zabić wroga, gdyby lufa jego pistoletu drgnęła choćby o centymetr w moim kierunku. Staliśmy naprzeciw siebie i obserwowaliśmy się czujnie. Nagle zapytał:

— Oriente?

Schowałem pistolet i odpowiedziałem:

— Naturalnie, lecimy do Fidela!

Przed startem Anténor wręczył mi 10 tys. dolarów z pieniędzy znajdujących się w kasecie.

JESTEM „SPALONY"

Fidel Castro oczekiwał nas przed swą chatą w kwaterze głównej partyzantów, ucieszył się jak zwykle ze spotkania i pochwalił za uzupełnienie zapasów uzbrojenia. Musieliśmy pozostać w gościnnej kwaterze. Nie mieliśmy benzyny, aby polecieć na kontynent, a w Hawanie nie mogliśmy się już pokazać. Ani Anténor, ani tymbardziej ja. Po ostatniej „transakcji" byłem w stolicy Kuby „spalony".

Na szczęście następnego dnia przybyła do Sierra Maestra delegacja Kubańczyków z Florydy, która przywiozła prywatnym samolotem nowe pieniądze zebrane na rzecz ruchu „26 lipca".

— Jack, amigo — powiedział Camilo — musisz nam pomóc. Pilot, który miał przetransportować z powrotem delegatów dostał ataku serca...

— Zgoda. Kiedy wyruszamy?

— Za dwie godziny.

— Co? W biały dzień?

— Niestety. Trudność polega jednak na tym, że samolot z Miami posiada już tylko resztki benzyny. Pilot mówi, że starczy zaledwie na trzydzieści minut lotu. Akurat do Bayamo...

Bayamo było to najbliższe, większe miasto. Znajdowało się w rękach wojsk rządowych.

— Uważasz, że powinienem naciągnąć Batistę dodatkowo na parę kanistrów benzyny? Żartujesz chyba?...

— Mówię poważnie. Musisz wylądować w Bayamo i nabrać benzyny.

— To przecież samobójstwo.

— Nie jest tak źle. Mamy tam swojego zaufanego człowieka. Porucznika Vega. Jest wtajemniczony. Dostaniecie fałszywe papiery, z których wynika, że lecicie z Jamajki do Miami. Dla delegatów i Anténora mamy fałszywe paszporty. Ty masz swój, amerykański.

— A jak coś źle wyjdzie?

— Nie może wyjść źle. Wylądujecie, weźmiecie benzynę i wystartujecie. Wystarczy na to kwadrans. Vega ma dzisiaj służbę...

ZGUBIŁA NAS CIEKAWOŚĆ

Wziąłem kurs na otwarte morze, następnie skręciłem równolegle do wybrzeża i 20 mil przed Bayamo połączyłem się z lotniskiem. Zameldowałem się zgodnie ze wskazówkami Camilo i poprosiłem o pozwolenie na wylądowanie w celu uzupełnienia benzyny. Po minucie nadeszła odpowiedź: „Zgadzamy się na lądowanie".

— Zapiąć pasy — rozkazałem.

Przy lądowaniu dojrzałem kilka samolotów myśliwskich Batisty, a po prawej stację benzynową. Potoczyliśmy się wolno na miejsce lekkiego bombowca, który zakończył właśnie pobieranie paliwa i przesunął się o pięćdziesiąt metrów. Wyłączyłem motory, nakazałem delegatom, aby ani na chwilę nie opuszczali samolotu i z fałszywymi papierami w garści wysiadłem. Podszedł oficer z obsługi naziemnej i krótko zasalutował.

— Porucznik Vega — powiedział. — Co mogę dla pana uczynić?

Był młody, bardzo młody i miał sympatyczne brązowe oczy. Wręczyłem mu papiery. Porucznik przerzucił je pobieżnie. Żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Czy dobrze się leciało?

Dziękuję. Świetna pogoda.

Dostrzegł, że pot zaczął mi spływać maluteńkimi strumyczkami po policzkach i uśmiechnął się.

Na Kubie gorąco, prawda?

— Za gorąco, poruczniku.

Nasze spojrzenia spotkały się. Rozumieliśmy się. Skinął na swoich ludzi.

— Do pracy! Pompować! Pośpieszyć się!

Mężczyźni w brązowych kombinezonach zajęli się maszyną. W okienku samolotu ujrzałem zaciekawione twarze delegatów. Nagle obok mnie stanął Anténor. Psiakrew! Dlaczego nie pozostał na swoim miejscu?... Z zainteresowaniem przyglądał się bombowcowi naszpikowanemu karabinami maszynowymi. Po chwili pozostała siódemka zaczęła wygrzebywać się z maszyny, śmiać się i dyskutować...

— Panowie — powiedziałem — wróćcie na swoje miejsca. Zaraz startujemy.

Nie słuchali. Tymczasem od strony dworca lotniczego zbliżał się otwarty Buick. Przy kierownicy czarnowłosa dziewczyna, piękna jak pocałunek. Obok niej młody kapitan lotnictwa. Zatrzymali się przy najbliższym bombowcu, kapitan wskoczył na pokład, dziewczyna czekała. Raz zerknęła przelotnie w naszą stronę, ale natychmiast odwróciła głowę w stronę bombowca. Anténor zrobił się blady.

— Znam ją z Hawany.

— Świetnie — odpowiedziałem.

— Nie bardzo. Wie, że sympatyzuję z Castro. Byliśmy kiedyś nawet zaręczeni.

— Coraz lepiej.

— Mam nadzieję, że nas nie rozpoznała.

Dziewczyna zapuściła motor, szepnęła coś kapitanowi i odjechała. Bogu dzięki. Kapitan wdrapał się na bombowiec. Zawarczały motory. Przez szybę dojrzałem jak lotnik poprawił słuchawki i coś powiedział do mikrofonu. Bombowiec zaczął się z wolna toczyć, aż wreszcie obrócił się, tak że wyloty karabinów maszynowych skierowały się w naszą stronę. Po chwili motory zgasły. Staliśmy jak wrośnięci w ziemię. Sprzed dworca zbliżał się w szybkim tempie jeep, a za nim samochód ciężarowy z żołnierzami.

— Koniec! — zawołał porucznik Vega.

— Szybko! — zawołałem. — Wsiadać! Startujemy!

W tym momencie jeep zatrzymał się przed nami. Niski gruby pułkownik wyskoczył z samochodu. Żołnierze z ciężarówki otoczyli nas półkolem. Anténor zdążył szepnąć: — Pamiętaj, lecimy z Jamajki...

Pułkownik podszedł ze złym uśmiechem na twarzy.

— Proszę się nie spieszyć, panowie. Musimy was poprosić, abyście jeszcze przez chwilę pozostali naszymi gośćmi. Zaręczam, że przyjmiemy was gorąco.

Domyśliłem się, co miał na myśli: pozdzierane paznokcie, połamane kończyny, wykłute oczy...

— Świnia! — mruknął Anténor.

Pułkownik uśmiechał się w dalszym ciągu.

— Pan za wiele mówi, senor Anténor. To przynosi panu pecha. Zwłaszcza jeśli czyni to pan w towarzystwie dam.

Spojrzał na wieżę kontrolną, przed którą stał teraz Buick z czarnowłosą pięknością.

— Odprowadzić! — rozkazał.

Żołnierze wepchnęli nas na ciężarówkę. Porucznik Vega stał blady aż po czubki uszu. Nie mógł dla nas nic uczynić.

SAMI KRĘCILI BICZ NA SIEBIE

Wprowadzono nas do dużego, chłodnego pokoju i zrewidowano. Pułkownik odebrał mi osobiście złoty zegarek, wieczne pióro i paszport. Po chwili wykrył pas, który miałem pod koszulą i w jego kieszeniach znalazł wszystkie moje pieniądze: 10 tys. dolarów. Przeliczył i zdziwił się:

— Mnóstwo pieniędzy. Partyzanci jak widzę dobrze płacą. Co pan za to im zrobił?

— Nie pana rzecz.

Wyglądało na to, że uderzy mnie, ale opanował się i rozkazał:

— Odprowadzić do mojego pokoju!

... Czekałem cierpliwie. Rozważałem, co powiedziałby gruby pułkownik, gdyby wiedział, w jaki sposób zarobiłem 10 tys. dolarów i że pochodziły one z kasy jego prezydenta... Być może nie przyjdzie mu na myśl zatelefonować do Hawany i wywiedzieć się o mnie. Generał Pedraza na pewno od dawna już zauważył, że stał się biedniejszy o samolot, porucznika, sześciu żołnierzy i 100 tys. dolarów. Nie potrzeba zbyt wielkiej fantazji, aby wyobrazić sobie jak daleko posunęłaby się jego zemsta...

Na razie nikt się mną nie zajmował. Mijały godziny. Przez cienką ścianę słyszałem przesłuchania siedmiu delegatów. Od czasu do czasu towarzyszyły im głuche uderzenia i jęki. Dwaj pierwsi przyznali się natychmiast. Także trzeci nie wypierał się. Następnie przyszła kolej na Anténora. Milczał. Bili go. Słyszałem jego przekleństwa. Płakał. Nie ze strachu, ale z wściekłości, rozczarowania i bólu. I milczał.

Inni wyśpiewali wszystko o swojej działalności, charakterze funkcjonariuszy ruchu „26 lipca" na Florydzie. Tylko o mnie powiedzieli, że jestem wynajętym pilotem i że nie wiem o niczym. Dziwne: ci ludzie sami kręcili bicz na siebie. Z wyjątkiem Anténora żaden z nich nie uczynił najmniejszej próby wyparcia się, ratowania własnej głowy. Jedynie mnie, obcego, Amerykanina, kryli swymi wypowiedziami. Dlaczego? Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Nigdy zresztą nie zrozumiem Południowo-Amerykanów. Pochodzą z innego, obcego świata...

BARDZIEJ UMARLI NIŻ ŻYWI

Po czterech godzinach wszystko było skończone. Otworzyły się drzwi i pułkownik wszedł do mojego pokoju. Usiadł za stołem, dwóch sierżantów ustawiło się obok mnie. Zaczęło się przesłuchanie.

— Nazwisko?

— Jack Youngblood.

— Zawód?

— Pilot.

— Przynależność państwowa?

— USA.

— Data i miejsce urodzenia?

— 25 października 1930 r. Allene, Arkansas.

Składałem wyjaśnienia dopóki to było możliwe. Że byłem synem małego, biednego farmera, że najpierw nauczyłem się jeździć konno, a później liczyć i że jeszcze przed maturą nauczyłem się pilotować. A także, że w czasie wojny koreańskiej nauczyłem się reszty: strzelać i pić. Więcej nie powiedziałem ani słowa. Odprowadzono mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdowali się pozostali. Ze zniekształconymi twarzami, podbitymi oczami, w podartych ubraniach, ociekający krwią, bardziej umarli niż żywi. Anténor leżał na ziemi, dziwnie wygięty. Na mój widok próbował się podnieść ale mu się to nie udało...

OSTATNI AKT

W godzinę później załadowano nas znów na ciężarówkę i zawieziono z powrotem na lotnisko, gdzie stał nadal samolot, którym przybyliśmy. Usiłowałem podeprzeć Anténora przy wysiadaniu. Każdy krok był dla niego męczarnią, obie nogi miał złamane.

Trzech żołnierzy szło na początku. Nieśli karabin maszynowy i kilkanaście pasów z amunicją. Za nimi gruby pułkownik. Następnie siedmiu delegatów, Anténor i ja. Za mną dwóch dalszych żołnierzy i na końcu katolicki ksiądz w czarnej sutannie. Poprowadzili nas przez plac aż do głębokiego rowu. Stanęliśmy w szeregu, w odstępach dwóch kroków. Zrozumiałem, co zamierzają z nami uczynić. Pułkownik podszedł do mnie raz jeszcze.

— Te świnie przysięgają, że jest pan niewinnym pilotem. Ja jednak wiem, że jest pan agentem Castro i jego bandytów. Niech pan się przyzna i uratuje swoje życie...

— Odwal się!

Odwrócił się wściekły i poszedł w kierunku stanowiska karabinu maszynowego.

Wiedziałem, że zaraz umrę. Czułem oddech śmierci. Ksiądz podchodził kolejno do każdego z nas i udzielał ostatnich sakramentów. Stanął przede mną. Miał stare, smutne oczy.

— Katolik? — zapytał.

— Nie!

Mimo to udzielił mi błogosławieństwa, odmówił krótką modlitwę, której nie zrozumiałem i zrobił nade mną znak krzyża.

— Amen! — powiedział.

— Amen! — powtórzyłem.

Przygotowania zakończyły się. Lufa karabinu maszynowego skierowała się na prawo, na Anténora. Ramię pułkownika uniosło się do góry.

— Chwileczkę! — wyjęczał skazaniec. Jego zniekształcona twarz wygładziła się, przemknął przez nią uśmiech.

— Arriba la revolucion! — zawołał.

— Fuego! — wrzasnął pułkownik. — Ognia!

Dwa razy zatrajkotał karabin maszynowy. Dwie serie przesiały Anténora, odrzuciły jego ciało do rowu.

Dwie nowe serie. Ubył następny z szeregu.

Przerwa.

Znów strzały. I znów...

Upadali jeden po drugim. Jeszcze trzech, jeszcze dwóch, jeszcze jeden...

Teraz pozostałem już tylko ja...

Spojrzałem w obrzydliwy wylot lufy karabinu i czekałem.

Nic.

Mijały sekundy.

Nadal nic.

Spojrzałem na pułkownika. Grymas wykrzywił jego twarz.

Podszedł do mnie i wsadził mi paszport do marynarki.

— Ty świnio najbardziej zasłużyłeś na śmierć. Niestety, nie wolno nam rozstrzeliwać jankesów. Ale kiedyś dostaniemy cię jeszcze w swoje ręce. Na pewno!...

ŻYWA BOMBA

Poprowadzili mnie w kierunku bombowca przygotowanego do startu. W ciemnym pomieszczeniu zostałem wepchnięty do luku bombowego. Uzbrojony strażnik ulokował

Straż złożona z zaufanych powstańców przy biurku dyktatora Kuby — Batisty w Pałacu Prezydenckim w Hawanie

PRZEZ INDIE PAKISTAN I CEJLON

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

Przez „Wiszące Ogrody" do „Wieży Milczenia"

Bombaj został kiedyś zbuwany na pięciu oddzielnych, blisko siebie leżących wysepkach. Z czasem cieśniny między tymi wyspami zasypano i zabudowano. W ten sposób powstał wąski półwysep, na którym rozłożyło się 3 i pół milionowe miasto, które z trzech stron obmywają mętne fale zatoki.

W miejscu, gdzie kończy się port, a rozpoczyna śródmieście, stoi charakterystyczna budowla przypominająca paryski Łuk Triumfalny — „Gateway of India" — „Brama Indii".

Ten najruchliwszy z portów indyjskich, do którego prowadzą linie żeglugowe z całego świata, może być słusznie uważany za bramę wjazdową nie tylko do Indii, ale całego Środkowego Wschodu, którego najżywotniejsze interesy tu się właśnie zbiegają.

WISZĄCE OGRODY

Stoimy na szczycie Malabarskiego Wzgórza dominującego nad miastem. Roztacza się stąd wspaniały widok: wzdłuż półkolistej zatoki biegnie świetna autostrada nadmorska — Marine Drive. Nocą lśni ona półkolem rzęsiście jarzących się świateł — co dało jej drugą nazwę: „Naszyjnika Królowej". Zbocza wzgórza toną w zieleni parków i ogrodów, spośród których wynurzają się piękne jak cacka wille i pałacyki.

Szczyt wzgórza zajmują Wiszące Ogrody. Nie mają one co prawda nic wspólnego z legendarnymi ogrodami babilońskiej królowej Semiramidy, ale choć nie są jednym z siedmiu cudów starożytnego świata, stanowią jednak prawdziwy cud nowoczesnej sztuki ogrodniczej: liczne krzewy, które tu rosną, pod działaniem nożyc ogrodniczych zmieniły się w zielone, obsypane kwieciem postacie ludzkie i zwierzęce. Jest tu oracz z bawołem i wieśniaczka pochylona przy pracy, są słonie, tygrysy, wielbłądy, lwy i żyrafy. Klomby i rabaty ułożone są w barwne emblematy i herby. W słonecznym zegarze z różnobarwnych kwiatów rolę wskazówki pełni krzew przystrzyżony na kształt czającego się do skoku tygrysa. A wśród tego wszystkiego biegają po trawnikach smagłe indyjskie dzieciaki i smukłe — same w swym barwnych „sari" do egzotycznych kwiatów podobne — sarniookie Induski...

Spacerując po ścieżkach ogrodu rozkoszowałem się spokojem i harmonią tego uroczego zakątka, do którego nie dociera zgiełk i gorączkowy ruch bombajskich ulic. Tu przynajmniej można odpocząć, oderwać się na chwilę od krzykliwego targowiska, które kłębi się gdzieś tam na dole, zapomnieć o jego natrętnej nędzy, smutku i brzydocie...

Tak właśnie myślałem w chwili, gdy podszedł do mnie mocno już szpakowaty, solidnie wyglądający Indus i, okazując oznakę zawodowego przewodnika, zaproponował, że pokaże mi Wieżę Milczenia.

— Co to za wieża? — spytałem.

— To wielka tajemnica Parsów, wyznawców Zaratustry — Czcicieli Ognia.

Brzmiało to równie zachęcająco jak tajemniczo, więc zgodziłem się skorzystać z jego usług, spodziewając się, że tak piękny zakątek musi się wiązać z równie piękną historią lub legendą. Ruszyliśmy więc w jeden z odległych kątów Ogrodu. Staruszek drepcząc koło mnie rozpoczął swój wykład:

WĘDRÓWKA WYZNAWCÓW ZARATUSTRY

Nauki proroka Zaratustry, spisane w świętej księdze Awesta, wywodzą się ze starożytnego państwa Chorezmu. Wyznawcy tej religii oddają cześć czterem żywiołom: ogniowi, wodzie, ziemi i powietrzu. Najwyższymi bóstwami są: dobrotliwy bóg światła Ahura-Mazda (po grecku Ormuzd) i zły bóg ciemności Angro-Manju (Aryman). Toczą oni ze sobą odwieczną walkę, od której wyników uzależnione są losy świata.

W VII wieku, po zawojowaniu Persji przez Arabów i wprowadzeniu islamu, wyznawcy Zaratustry, którzy oparli się przyjęciu nowej wiary, narażeni byli na prześladowania. W roku 641 kalif Omar wypędził ich z kraju i odtąd rozpoczęli swoją wędrówkę. Emigrowali zwartą, dobrze zorganizowaną grupą, zachowując swoją odrębność religijną i narodowościową. Jako dobrzy kupcy i budowniczowie doskonałych statków, byli wszędzie dobrze widziani i gromadzili znaczne majątki. Przez blisko 1.000 lat głównym ich ośrodkiem było miasto Diu na wybrzeżu Kaliwaru. W końcu jednak nadmierne przeludnienie tej miejscowości zmusiło Persów do dalszej emigracji. W 1599 roku zbudowawszy flotę złożoną ponad 700 statków popłynęli do Indii, gdzie zostali nader gościnnie przyjęci przez indyjskiego księcia Dżado Rama. Zdolności i bogactwo przybyszów sprawiły jednak, że szach sąsiedniego Achmedobadu chciał ich zagarnąć siłą do swego państwa. W wyniku wojny, jaka z tego powodu wybuchła, Parsowie rozproszyli się po całych Indiach. Po zdobyciu Bombaju przez Anglików osiedlili się tam około 1000 wyznawców Zaratustry. Dziś stworzyli oni tutaj znowu zwartą kolonię, skupiającą około 90% Parsów zamieszkałych w Indiach.

Wyrażając zgodę na osiedlenie się Parsów w Bombaju Anglicy pozyskali sobie w nich oddanych sprzymierzeńców. Współpracując gorliwie do dnia dzisiejszego z kapitałem angielskim — Parsowie szybko i świadomie „angliczeją". Wykazują przy tym wiele zabawnego snobizmu. Tak na przykład w miejsce swych pięknych starożytnych nazwisk, których tradycje sięgają nieraz legendarnych dziejów Chorezmu, przybierają nazwiska o brzmieniu angielskim, w zależności od towaru, jakim handlują, lub wyrobów, które produkują. Bywa, że Pars zajmujący się lichwą przybiera nazwisko Readymoney (gotówka), sprzedawca zapałek nazywa się Matchtrader, zaś handlarz skupujący butelki po wodzie sodowej — Sodabotelwalla, przy czym nazwisko to jest półangielskie półperskie: „walla" znaczy „trudniący się".

U STÓP WIEŻY MILCZENIA

Opowiadając o wędrówce Parsów przewodnik sprowadził mnie na niżej położony taras, skąd widać było Wieżę Milczenia. Mogłem się jej teraz dokładnie przyjrzeć. Nie jest to właściwie wieża, lecz raczej niewielki placyk na podmurowaniu otoczony wysokim murem. Na krawędziach tego muru i na gałęziach pobliskich palm siedziało kilkanaście ogromnych sępów. Jeden z nich zerwał się nagle i ociężale machając skrzydłami przelatuje nad nami, by spocząć na sąsiedniej palmie.

— Są tak obżarte, że ledwo mogą latać — mówi przewodnik. — Mają teraz dobry sezon: od czasu, kiedy w mieście panuje grypa, pogrzeby Czcicieli Ognia odbywają się po parę razy dziennie...

Mimo upału zrobiło mi się zimno.

— Co mają wspólnego te wstrętne ptaki z pogrzebami Czcicieli Ognia? — zapytałem.

— Jak to, pan nie wie? — zdziwił się przewodnik. — One pożerają ciała umarłych Parsów.

— Ależ dlaczego?

— Tego wymaga ich religia. Jak powiedziałem, są oni czcicielami czterech żywiołów. Ciało zmarłego uważają za nieczyste, nie mogą go więc spalić, jak to czynią Hindusi; ani zakopać w ziemi, jak muzułmanie i chrześcijanie; ani rzucić do rzeki, jak to robią niektóre sekty zamieszkałe nad Gangesem; ani wreszcie spreparować jako mumię, by nie skazić nią żywiołu powietrza, w którym pozostawałyby one przez dłuższy czas... Czciciele Żywiołów znaleźli więc jedyny odpowiedni rytuał pogrzebowy, polegający na oddaniu ciała zmarłego na pożarcie ptakom...

MAKABRYCZNY POGRZEB

Tymczasem wśród sępów siedzących dokoła Wieży Milczenia zapanowało jakieś ożywienie. Co chwilę nadlatywały nowe ptaszyska i zajmowały wygodne miejsce w pobliżu Wieży. Jednocześnie w powietrzu nad nami zaczęły krążyć dziesiątki mniejszych drapieżników. Przewodnik również zauważył ożywienie wśród tej gromady drapieżców.

Widzę z zachowania się ptactwa, że za chwilę będziemy mieli niezłe widowisko. Widocznie niosą tu nowego nieboszczyka...

Rzeczywiście, po paru minutach zza zakrętu ulicy prowadzącej do Wieży Milczenia wyłonił się kondukt pogrzebowy. Ciało nieboszczyka na noszach przykryte całunem niosło sześciu rosłych mężczyzn. Za nimi postępował tłum Parsów w charakterystycznych strojach składających się z długich, podobnych do sutanny szat i wysokich kołpaków o kształcie odwróconego kopyta wołu.

Kondukt zatrzymał się przed drzwiczkami Wieży i wtedy wystąpił kapłan, by odprawić rytualny ceremoniał. Tymczasem ze wszystkich stron nadlatywało ptactwo dołączając do kręgu dziko wirującego w powietrzu.

Dwaj czarno ubrani „grabarze" uchylili drzwiczek Wieży i wciągnęli do środka nagie ciało nieboszczyka. Sępy siedzące na obmurowaniach rozwinęły skrzydła i sfrunęły ciężko w głąb wieży. Jeden po drugim spadały tam również krążące w powietrzu inne ptaki — dziesiątki, setki zgłodniałych drapieżników. Łopot skrzydeł i ostry, dziki krzyk ptactwa zagłuszył płacz kobiet i słowa modlitwy...

— Za kwadrans pozostaną tam tylko białe kości nieboszczyka — powiedział przewodnik.

Ze zgrozą i wstrętem przyglądałem się ponuremu widowisku. Ale mój przewodnik, przyzwyczajony widocznie do tego widoku, nie szczędził mi dalszych szczegółów:

— Niedawno pewna gwiazda filmowa z Hollywood odpoczywała na ławce w Wiszących Ogrodach. Nagle z nieba spadła jej na kolana dłoń jakiegoś nieboszczyka, którą widocznie przelatujący sęp wypuścił z dziobu. Artystka doznała wskutek tego wypadku wstrząsu nerwowego...

MEDYTACJE W BASENIE

Woda w sztucznym basenie Breach Candy jest kryształowo czysta i tak nasycona solą, że można w niej leżeć nieruchomo na wznak, unosząc się na jej powierzchni bez żadnego wysiłku. Jest to najidealniejszy chyba „relax" jaki można sobie wymarzyć pod tropikalnym niebem Indii. Ciało zawieszone w wodzie jak w przezroczystym hamaku traci tu swą ważkość i, jeśli zamknę oczy, doznaję uczucia lewitacji — samoczynnego unoszenia się w powietrzu.

Basen otoczony jest pięknym ogrodem pełnym kwiatów i egzotycznej roślinności. W cieniu palm rozstawiono wygodne leżaki i fotele. W pawilonie restauracyjnym induska służba podaje chłodzące napoje i lekkie posiłki. Z głośników radiowych sączy się dyskretna muzyka.

Kąpielisko to odkrylem przypadkiem w drodze powrotnej z Wiszących Ogrodów w odległości zaledwie pół kilometra od Wieży Milczenia... Leżąc teraz w wodzie i rozkoszując się jej kojącym działaniem przetrawiałem raz jeszcze wrażenie z mego pierwszego spaceru po Bombaju.

Przyszedłem wkrótce do przekonania, że przygoda moja nie była dziełem przypadku, lecz przeciwnie symbolem charakteryzującym Daleki Wschód, przykładem owych jaskrawych przeciwieństw, w jakie obfituje tutejsze życie. Barwną sielankę znajdujemy tutaj tuż obok makabrycznej ceremonii pogrzebowej, piękno natury obok ponurego obrazu zagłady. Życie i śmierć, piękno i brzydota, przepych i nędza, wszystko to miesza się tu i przeplata w ostrych, rażących kontrastach. Taki jest właśnie Daleki Wschód.

Na nic więc nie zda się odwracanie głowy i przymykanie oczu. W tym kraju nie da się uciec od wstrząsających obrazów krzywdy, cierpienia i smutku. Nie można ograniczyć się do zachwytów nad jego barwnością i egzotyką, a wyminąć przepastne zaułki jego Ciemnogrodów. Trzeba się w nie śmiało zapuścić i spojrzeć w twarz prawdzie, często tak bardzo różniącej się od ckliwej, powierzchownej szmiry, która ukształtowała nasze pojęcie o krajach dalekowschodnich.

KRAINA JASKRAWYCH KONTRASTÓW

Oto ze wspaniałego samochodu wysiadły trzy piękne Induski w swych barwnych, jedwabnych „sari". Ich beztroska wesołość, wdzięk i uroda sprawiają wrażenie, że są mieszkankami jakiegoś Kraju Ogólnej Szczęśliwości. Nagle z ciemnego zaułka wychodzi im na spotkanie potworna zjawa: dwóch trędowatych, jednemu choroba stoczyła twarz i wyżarła oczy, drugiemu odjęła obie stopy do kostek. Więc w tej żebraczej symbiozie nosi ślepy kulawego na plecach — ślepy postukuje kosturem, kulawy rękę po jałmużnę wyciąga. Młode damy przechodzą mimo szczebiocząc beztrosko...

Przed wejściem do kąpieliska Breach Candy wisi tabliczka ze stereotypowym napisem: „For Europan only". O pół kilometra dalej u wejścia do innego, znacznie skromniejszego basenu podobna tabliczka obwieszcza azyl kolorowych... Czyż nie jest to dziwne, że i tu, w niepodległej Indii Ghandiego i Nehru, panoszą się podziały rasowe, kastowe, religijne i czort wie jakie jeszcze?

O kilkanaście metrów od krawędzi basenu wśród nadbrzeżnych głazów rozbijają się bezsilne brunatne fale zatoki. Po strzyżonych trawnikach i kwitnących klombach przesunął się jakiś cień. To wysoko w górze przeleciał sęp — zapóźniony biesiadnik z Wieży Milczenia...

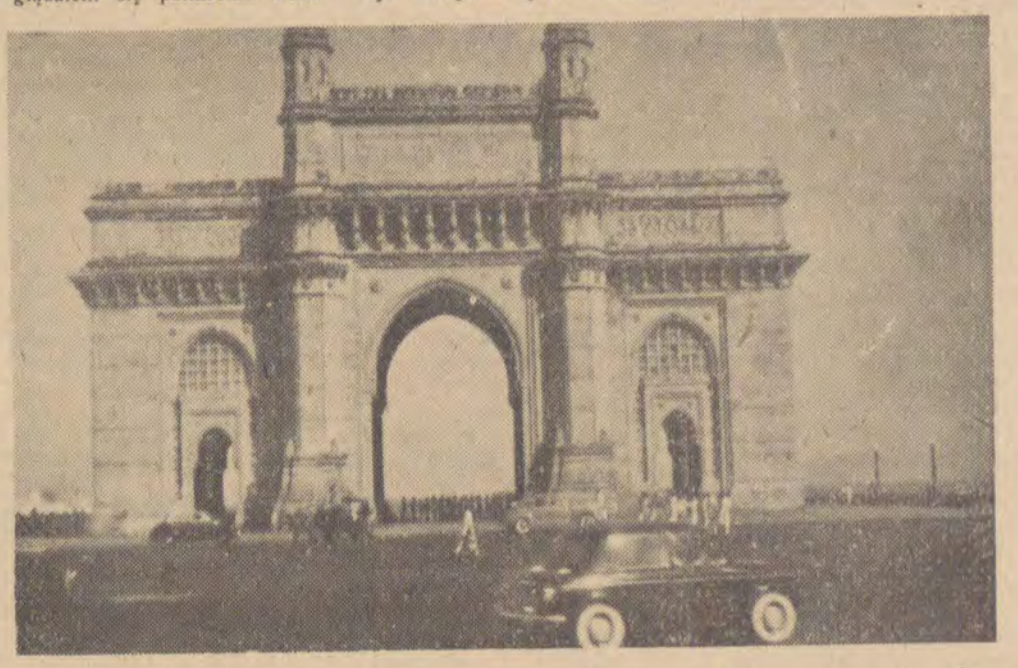

Brama Indii w Bombaju

się na przeciw mnie na podłodze maszyny. Wystartowaliśmy. Cienka klapa na której siedziałem drżała od wibrowania motorów. Co zamierzali ze mną uczynić? Rostrzelać nie mogli, ale może chcieli zrzucić w charakterze żywej bomby z wysokości dwóch tysięcy metrów nad przepaściami Sierra Maestra? Na samą myśl poczułem się sparaliżowany. Jedno naciśnięcie pilota na guzik zwalniający ładunek bomb, a klapa pode mną otworzy się i będę opadał, opadał...

Nic ze mnie nie pozostanie. Nikt nie dowie się nigdy o losie Jacka Youngblooda...

Zrobiło mi się niedobrze. Usiłowałem zasnąć, ale przed moimi oczami tańczyły wciąż czerwone koła...

Po wylądowaniu rozpoznałem jeden z budynków Campo Columbia, kwatery głównej Batisty, siedziby generała Pedraza. A jednak pułkownik z Bayamo musiał zatelefonować... Popchnięto mnie do wozu tajnej policji. Zawyła syrena, popędziliśmy przez morze świateł na ulicach Hawany. Po pół godzinie znaleźliśmy się u celu. Nie, nie przed budynkiem SIM. Staliśmy przed gotową do startu maszyną kubańskich linii lotniczych na międzynarodowym lotnisku w Hawanie. Zprowadzono mnie na zarezerwowane miejsce w końcu kabiny. Jakiś oficer wręczył mi papiery.

— Będzie pan usunięty — powiedział. — Jako uciążliwy cudzoziemiec. Niech pan się nigdy więcej nie zjawia na Kubie. W przeciwnym wypadku...

PIJANI ZWYCIĘSTWEM

A jednak powróciłem na piękną wyspę. 2 stycznia roku 1959 około godziny szóstej wieczorem. Przed dwudziestu czterema godzinami uciekł Fulgencio Balista. Wraz z rodziną, kompanami i skarbem narodowym. Ja zaś przed pół godziną wynajętą maszyną przewiozłem z Florydy dwa tuziny pijanych zwycięstwem Kubańczyków do stolicy wyzwolonej ojczyzny.

W Hawanie sytuacja nie była najlepsza. Paliły się niektóre domy, na ulicach stały barykady, okna wystawowe były powybijane, część sklepów zrabowana. Tu i ówdzie słychać było jeszcze strzały.

Castro przybył następnego dnia. Z pałacu prezydenta wygłosił przemówienie do narodu, a następnie odbył wraz z Camilo i Ernesto Guevarrą przejażdżkę przez miasto, która przemieniła się w tryumfalne święto zwycięstwa. Tej nocy również w całej Hawanie nie spał ani jeden człowiek.

Zakończył się strajk generalny, autobusy zaczęły kursować po normalnych liniach, towarzystwa lotnicze wznowiły komunikację, do miasta zaczęła napływać żywność...

Któregoś dnia odbyłem ostatnią rozmowę z Fidelem Castro. Zorientowałem się, bez trudu że na wyzwolonej, wciąż oszołomionej zwycięstwem wyspie w szybkim tempie stabilizuje się życie. Nie jest to najlepszy klimat dla takiego zabijaki jak ja. Samolot Cuba Airway powiózł więc Jacka Youngblooda na północ do jego właściwej ojczyzny...

W/G „QUICK" OPRACOWAŁ: AB.

Co piszą inni

Plebiscyt za 3 złote

Telewizja z szalonym, rzec można, rozmachem przystąpiła do propagowania Festiwalu Piosenki, także związanego z nim plebiscytu. Nie jest nam wprawdzie do końca wiadome, o co tak naprawdę ma w tym plebiscycie chodzić,

Hanna Rek śpiewać będzie piosenkę do słów Jurandota „Jak ty nic nie rozumiesz" — stary majster, trzeba przyznać, napisał bardzo „chwytliwy" tekst. Chyba będzie szlagier.

wszelako w ostatnim TeleEchu p. Irena Dziedzic przyobiecała, że jeżeli tylko kupimy los za trzy złote, na jego odwrotnej stronie znajdziemy odpowiedź na wszystkie, ale to wszystkie dręczące nas pytania.

Poznaliśmy również wszystkie dwanaście plebiscytowych piosenek — sześć w ostatnią, a sześć w ubiegłą niedzielę. Osobiście mam nawet o nich dość wyrobione zdanie, ależ — zapytuję — czy w przededniu plebiscytu, w którym zarówno ja jak i moi współziomkowie możemy wygrać motocykl albo i zgoła samochód, wypada przeprowadzać propagandową kampanię?

Inne problemy dręczą znów Teofila ze „Szpilek".

„Podoba mi się też — pisze — i to, że każdy głos kosztuje 3 zł. Niewiele to, a przecież podkreśla przywilej, jaki staje się udziałem każdej jednostki. Mając większą ilość gotówki i uwielbiając Przybylską czy Hannę Rek, można zwiększając ilość oddanych głosów, złożyć piękny hołd umiłowanej przez siebie sztuce".

A nieco wcześniej, w tym samym felietonie:

„Bardzo to piękne i wychowawcze. Wprawdzie nie cały naród jest wystarczająco muzykalny, (co wykrzywić może obiektywną prawdę o polskich piosenkach), ale też i w innych sprawach nie jest nasze społeczeństwo w pełni uświadomione..."

O, to, to, to... Też się boję, że możemy powtórzyć plebiscytową superbzdurę wykonaną kiedyś przez krakowskie „Zdarzenia" — chodziło tam o najpopularniejszego piosenkarza i, rzeczywiście, plebiscyt wygrała „w cuglach" Sława Przybylska, między innymi przed Earthą Kitt.

Choć, z drugiej strony, czy to nie wszystko jedno jaka piosenka zdobędzie tytuł „miss" w wolnych, choć niekoniecznie — ze względu na zróżnicowane zasoby pieniężne obywateli — równych wyborach? I tak mamy przecież sprawę z jeszcze jedną odmianą toto-lotka, a cały plebiscyt ma — najwyraźniej — na celu dofinansowanie imprezy. Skoro zaś tak — głosujmy. Kupujmy losy, popierajmy polską piosenkę, bo jak nie my, to któż u licha zechce do imprezy dopłacić?

P.S. Choć osobiście urządziłbym zawody na bardziej atrakcyjny sposób. Nie „każdy los bierze udział w losowaniu", a coś w rodzaju zgaduj-zgadule, albo wyścigów konnych — mamy jury, które ogłosi wynik, a ty, uczestniku, głosuj na „kolejność", głosuj na trzy pierwsze piosenki, albo na pierwszą i ostatnią i tak dalej w różnych kombinacjach. Ostatecznie jak hazard, to hazard.

Aleksander NIEŚMIAŁEK

TELEwizja

Kwitujemy odbiór

„Oni wiedzą, co to jest miłość"

Mimo lata Teatr Telewizji nie zawodzi. W poniedziałek 24 lipca obejrzeliśmy na przykład jednoaktową komedię Miklosa Hubaja „Oni wiedzą, co to jest miłość" — rzecz, powiedzmy, raczej błahą i szczególną głębią myślową nie imponującą, ale zgrabnie napisaną, dobrze wyreżyserowaną i naprawdę doskonale zagraną.

Szczególną satysfakcję mieliśmy patrząc na parę staruszków: Estellę **(Ryszarda Hanin)** i Berlicza **(Aleksander Bardini)**, dającą koncert skupionej, oszczędnej gry aktorskiej.

Reżyserowała **Maryna Broniewska.**

„Wszyscy jesteśmy sędziami"

Cykliczna audycja „Wszyscy jesteśmy sędziami" zdobyła sobie, jak się wydaje, dużą popularność wśród telewidzów — niewątpliwie obok elementów sensacyjnych zawiera ona momenty dydaktyczne, popularyzujące jakieś prawo, ba, konfrontuje społeczne poczucie sprawiedliwości z literą paragrafu.

Dobrze też, że autorzy audycji coraz rzadziej idą na żywioł, na dyskusje otwarte, w których — niestety — łatwo zagubić główny wątek, godnie licząc połowa zabierających głos bajdurzyła od rzeczy, bredziła, goniła w piętkę i dawała dość żałosny pokaz narodowego wodolejstwa.

Mniej może dobrze — odnosimy to m.in. do audycji ze środy 26 lipca — że wybierając tzw. atrakcyjne tematy, wybiera się zarazem przypadki trochę nietypowe, mało co właściwie wnoszące do naszego rozeznania w świecie norm moralnych. Prawdę mówiąc, a sprawdza się to w całej pełni na przykładzie felietonów Falkowskiej, pozornie blahe, pozornie tuzinkowe sprawy są w rezultacie najciekawsze, najwięcej mówiące o mechanizmach społecznych. No, ale to już jest sprawa wyboru — morderca z nożem kuchennym w wiązance kwiatów to jednak nie byle co na okres kanikuły. Do tego — zazdrosny morderca!

Bardzo nam się podobało...

... że w ubiegłą niedzielę (tzn. niedzielę 23 lipca — przypominamy czytelnikom aż do znudzenia, że musimy przygotowywać tę kolumnę z dość poważnym „wyprzedzeniem") ktoś rozsądny w łódzkim studio podjął tak zwaną męską decyzję, postanowił przerwać fatalną technicznie transmisję „Niedzielnej biesiady" z Poznania i dać w zamian parę filmów krótkometrażowych.

Oczywiście jeszcze lepiej jest, gdy zastępczy film jest jakoś utrzymany w klimacie audycji, która z tych czy innych przyczyn została zdjęta z programu — tak właśnie postąpili Niemcy, którzy gdy nawalił im wóz transmisyjny (a więc zdarza się to nie tylko u nas...) zamiast „Serenad operowych" dali „Aidę" — włoski film pełnometrażowy.

Mniej już dowcipna była nasza telewizja — dopiero gdzieś w połowie drugiego aktu, na skutek — jak nam powiedziano — licznych telefonów, włączył się lektor streszczający akcję opery. Ostatecznie nie bujajmy się — twórczość operowa nie jest aż tak szeroko w Polsce znana, a wreszcie również w czasie przedstawienia akcję poznajemy raczej nie z partii wokalnych, a z pomieszczonego w programie streszczenia.

Sportowy szlagier w telewizji

POLSKA — USA

Telewizja z zapałem przyjęła zapewne mecz lekkoatletyczny między Polską a USA — ostatecznie dał jej w dwóch dniach dobrze ponad cztery godziny programu z gwarancją, że przy bodaj poprawnym poziomie transmisji nawet etatowi „wybrzydzacze" zaczną doszukiwać się niejakich zalet w małym ekranie. Trzeba bowiem przyznać, że falą przedmeczowej reklamy* rozhuśtała się niespodziewanie wysoko, a rekordy widzów na warszawskim stadionie (ponad 30 tys. w deszczową niedzielę!) przeszły wszelkie oczekiwanie.

W sobotę, punktualnie o 18-ej, rozpoczęła się transmisja z pierwszego dnia. Przygotowana była, myślę, staranie — na stadionie rozstawiono sześć, jeżeli się tylko nie mylę, kamer, które były w stanie objąć wszystkie wydarzenia rozgrywające się na boisku, trzeba bowiem pamiętać że w meczach lekkoatletycznych cały szereg konkurencji rozgrywanych jest jednocześnie. Praca kamer, ujęcia, prowadzenie zawodników — również na mój gust, nie powinny budzić większych zastrzeżeń; widowisko (mecz lekkoatletyczny jest przecież rodzajem widowiska) było czytelne, przejrzyste.

Jeżeli z kimś się można spierać to ze sprawozdawcami, a właściwie z samą koncepcją sprawozdania. Przyjęto bowiem koncepcje sprawozdania możliwie beznamiętnego, obiektywnego wprawdzie, ale chyba przez to odbiegającego od nastrojów widowni, i tej ze stadionu, i tej sprzed telewizorów.

Oto przykładowo, w czym rzecz. Skacze znakomita Murzynka White, zdecydowana faworytka w skoku w dal, osiągająca w czasie tournee po Europie kolejno 6.41; 6.40 6.41 a więc grubo ponad możliwości naszych zawodniczek. Śliski rozbieg wyraźnie jej jednak nie odpowiada, jeszcze przed ostatnią kolejkę prowadzi Krzesińska przed Bibrową. Zapowiada się dublet dla Polski, który praktycznie rozstrzygnąłby wysoko mecz na naszą korzyść.

Jaką postawę ma zająć sprawozdawca? Czy, uniesiony sportowym duchem, ma życzyć White powodzenia w **ostatniej próbie, czy też życzyć jej cichcem „skuś baba"?!** No jednak, cóż tu ukrywać, widownia jest przeciw zawodniczce amerykańskiej i chyba przeciw powinien być sprawozdawca. Może nie koniecznie musi się drzeć ...„trzymamy w tej chwili, proszę państwa, aby White nie udał się rozbieg, aby nie trafiła na deskę, aby miała złe lądowanie" — wystarczy jeżeli powie"... White ma ostatnią próbę, a ponieważ rozbieg wyraźnie jej nie odpowiada, mamy duże szanse na sensacyjne podwójne zwycięstwo w tej konkurencji. Wówczas Polki obejmują prowadzenie 37:36 i to przed trzema ostatnimi konkurencjami, w których uchodzą za faworytki."

I tu zarzut drugi. Upierając się przy „obiektywniej relacji" sprawozdawcy niemal zupełnie zrezygnowali z jakichkolwiek przewidywań, z rozpatrywania szans.

Nie wiem, czy było to wyjście najszczęśliwsze — wprawdzie ogromna większość kibiców sama na własną rękę porównywała teoretyczne wyliczenia z uzyskiwanymi wynikami, prowadziła „podwójną buchalterię" i sumowała punkty, ale można w tym było kibicom dopomóc. Choćby przez sporządzenie tablicy. Zwyczajnej czarnej tablicy, na której chociażby kredą były w dwóch równoległych kolumnach wypisywane prognostyki i wyniki.

Wyglądałoby to mniej więcej tak:

Konkurencja : 400 m. p.pł.
Plan maximum : 8:3
Na boisku : 8:3

oszczep	3:3	3:3
100 m.	5:6	7:4
1500 m.	4:7	7:4

I już, i wszystko. Liczyliśmy, że może Folk wygra 100 m. — był drugi. Liczyliśmy na Barana — był drugi; wszystko czytelne, wszystko jak na dłoni, a ile dodatkowych emocji.

Trzeci i ostatni zarzut jest już bardziej dyskusyjnej natury. Osobiście lubię ludzi z poczuciem humoru i nie mam nic przeciwko sprawozdawcom improwizującym dowcipy niechby i nie najwyższej miary. Na cztery godziny sprawozdania naliczyłem tylko takie dwa wesołe momenty. W pierwszym dniu zapowiadając bieg na 400 m. przez płotki sprawozdawca dodał „...żeby było łatwiej rozpoznać Polaków wyjaśniam, że będą po prostu słabiej biegli". I w drugim dniu po sukcesie na 200 metrów i w dysku niezbyt wykwintna, ale przecież jedna uwaga"... okazuje się, że nasi są nieco lensi na błoto".

Ale to już drobiazgi. Natomiast tablica by się przydała. Na pewno.

J. PANASEWICZ

*) Mniejsza już z tym, czy prowadzonej zupełnie fair — było bowiem bardziej bezczelnością niż naiwnością (tyczy to zresztą niektórych gazet, nie działaczy) wyliczać jakieś tam teoretyczne szanse na remis czy nawet na nieznaczne zwycięstwo.

Jak ustawić telewizor i jak na telewizor patrzeć

W dalszym ciągu korzystamy z materiałów zawartych w lipcowym numerze miesięcznika „Ty i ja"; obok streszczonych już przez nas uwag na temat zdrowotnych problemów związanych z telewizją, pismo publikuje cały szereg — bogato ilustrowanych rysunkami — rad na temat właściwego ustawienia telewizora w mieszkaniu. Kto ma zamiar teraz właśnie przemeblowywać się, bądź też zakupuje telewizor, niechaj — radzimy — zajrzy do wspomnianego artykułu; poniżej znajdzie on bowiem tylko kwintensencję całego wywodu.

Otóż:

Telewizor powinien znajdować się naprzeciwko stałych miejsc do siedzenia, to znaczy na wprost foteli lub kanapy stanowiących stały kącik wypoczynkowy. Chodzi o to, aby móc zorganizować widownię bez każdorazowego przesuwania krzeseł.

Ponieważ nie wszyscy patrzący mogą siedzieć na wprost telewizora, warto wiedzieć, że bez zniekształceń odbieramy obraz telewizyjny w odległości 1,5 do 3 metrów, przy czym kąt patrzenia osób siedzących na skraju nie powinien przekraczać 40 stopni. Inaczej mówiąc — jako że ekrany telewizyjne są różnego formatu — idealna odległość od ekranu powinna być 6 do 8 razy większa od wysokości tego ekranu; przykładowo przy wysokości ekranu 30 cm. odległość ta winna się wahać od 1,80 do 2,40 m.

Wysokość ustawienia i kąt nachylenia powinny umożliwiać patrzenie pod kątem prostym do ekranu; odchylenie od linii osi lampy kineskopowej nie powinno przekraczać 10 stopni.

W miarę możności należy ustawiać telewizor tyłem do okna — światło dzienne załamując się w szybie ekranu rozświetla obraz.

Telewizor pracując rozgrzewa się, musi więc swobodnie „oddychać" i oddawać nadmiar ciepła; stąd tył aparatu nie może przylegać bezpośrednio do ściany.

„Ty i ja" proponuje również czytelnikom cały szereg konkretnych rozwiązań; przykładowo w mieszkaniu, w którym jest mało mebli, radzi ustawić telewizor na stoliku o kształcie długiej ławy (patrz zdjęcie).

PROGRAM na najbliższe dni

Czwartek, 3 sierpnia 1961 r.

18.40 Program dnia (Ł, lok.). 18.45 Program publicystyczny (Ł, lok.). 19.00 PKF (W). 19.10 Z cyklu „Z kamerą u przyjaciół" — reportaż filmowy z Kijowa (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań" magazyn (W). 20.30 „Sprawa mieszkania" — program publicystyczny (Ł, — ogólnopol.). 21.05 Teatr „Kobra" — „Ciotka Luiza" widow. sensacyjne wg. Philipe Lovono (W). 22.15 Ostatnie wiadomości (W).

Piątek, 4 sierpnia 1961 r.

18.20 Program dnia (Ł, lok.). 18.25 Wszystkie dni tygodnia (Ł, lok.). 18.55 „Grunwald 1960" — reportaż filmowy produkcji telewizyjnej (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Wszechnica telewizyjna" — program pt. „Komuna paryska" (W). 20.30 „Podróż za ocean" — film fab prod. jugosłowiańskiej (czytany) dozw. od lat 10 (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W)

Sobota, 5 sierpnia 1961 r.

17.10 Program dnia (Ł, lok.). 17.15 Program dla dzieci starszych „Jest ich 20 tysięcy" (W). 18.00 Film fabularny produkcji radziecko-czeskiej dozwolony dla młodzieży pt. „O 6 na lotnisku" (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Storozyki ci powiedzą" — film fab prod. USA dozwolony dla młodzieży (W). 21.35 PKF (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W). 21.50 „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna" — program rozrywkowy (Ł, ogólnop.).

Niedziela, 6 sierpnia 1961 r.

14.55 Program dnia (Ł, lok.). 15.00 Niedzielna biesiada (Ł, ogólnop.). 16.00 PKF (W) 16.10 Film z serii Disneyland. (W). 17.00 Teleturniej „20 pytań" (Ł, ogólnopolski). 18.00 Sprawozdanie sportowe (W). 19.15 Dziennik telewizyjny (W). 20.30 Estrada literacka „Kobieta jest diabłem" — 1-aktowa sztuka Prospera Merimeé w tłumaczeniu Joanny Guze (W). 21.05 „Porucznik jazdy" — film fab. prod. radz.-jug. dozw od lat 16 (Ł, lok.). 23.00 Wiadomości sportowe (W).

RYSZARD DOROBA

Człowiek człowiekowi
Homo homini
Jak może to świni.

informacje i zaczepki

Dowód iście staropolskiej gościnności dał w swoim czasie dyrektor pewnej szkoły przy ul. Gdańskiej wypraszając z uroczystości zakończenia roku trzech zagranicznych studentów, którzy zjawili się tam ze swoją nauczycielką języka polskiego. ◆ Od 1 sierpnia z autobusów kursujących Piotrkowską zniknęli konduktorzy; bilety kupujemy w kioskach „Ruchu" — ciekawe ile MPK do tego ryzykownego eksperymentu dołoży. ◆ Przyrost oszczędności na książeczkach PKO w Łodzi i województwie wyniósł w pierwszym półroczu br. ponad 200 milionów złotych. ◆ Warto obejrzeć ciekawą wystawę malarską Stanisławy i Władysława Panasów eksponowaną w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza. ◆ Ponad 13 kilometrów łódzkich ulic otrzyma w bieżącym roku nową nawierzchnię; przyjemność ta kosztować będzie 24 miliony złotych. ◆ Zupełnie nie można dostać w łódzkich księgarniach wydanych w swoim czasie przez PIW tomu bylin w tłumaczeniu Tadeusza Mongirda — myślimy, że warto je wznowić, zwłaszcza, że nakład I wydania był bardzo niewielki. ◆ Zapewne nie wszyscy wiedzą, że mamy w Łodzi ulicę im. Gagarina. ◆ W autobusie pośpiesznym na trasie Łódź-Dzierżoniów zainstalowano bufet — jest to pierwsza tego rodzaju innowacja w Polsce. ◆ Działacze kultury Łodzi i województwa „poderwali" ponad 10 proc. nagród jakie w tym roku przyznało w całym kraju Ministerstwo Kultury i Sztuki. ◆ Bardzo nam się podobała ocena prasowego huczku jaki wywołano wokół bunkrów w Konewce i Jeleniu: „Trybuna Ludu" porównała je z... wężem morskim zjawiającym się na łamach gazet w sezonie ogórkowym. ◆ Ostatni numer „Głosu Rosyjskiego" wydany został z 4-stronicową wkładką w języku polskim.

WIL

Najostrzejsze ołówki świata

MODELL

Opisuję na tym miejscu już którąś tam z rzędu niezwykłą karierę humorysty — widocznie akurat ten rodzaj artystów dochodzi do swego umiłowanego zawodu po dużych trudach, po wojnie z rodzicami, długoletnim marnowaniu talentu.

Franklin Boyd Modell, ledwo się nauczył trzymać ołówek w garści — rysował swoich kolegów i koleżanki szkolne. Wbrew rodzicom, wbrew nauczycielom — jak wspomina jego ówczesny profesor szkolny, szukał nieustannie wypowiedzi o otaczającym go świecie nie za pośrednictwem pióra, okrągłych zdań w wypracowaniach, lecz właśnie w rysowaniu podpatrzonych scenek z życia szkoły.

Kiedy wreszcie dobrnął z trudem do ostatecznego egzaminu i jakoś dał sobie radę w konkursie na wyższe studia — rodzice odmówili mu pomocy finansowej w studiowaniu rysunku — bez takiego stypendium w USA nikt studiów nie podejmie. Była wojna, Franklin zaciągnął się do wojska na ochotnika. Przydzielony do marynarki, aż do końca działań służył dzielnie, trzykrotnie odznaczony za męstwo.

I oto rzecz najbardziej niezwykła: właśnie w tym okresie — w czasie wielokrotnych lądowań na zajętych przez Japończyków wyspach — Modell zaczął rysować żarty. Pierwsze jego rysunki umieścił wielokrotnie wspomniany w niniejszej rubryce „New Yorker". Tak się bowiem stało, że młody humorysta znakomicie dopasował się do stylu lansowanego przez to pismo: wyrazisty rysunek, pozbawiony komentarza słownego, nie banalne pomysły, wyrafinowana pointa.

Te zalety, poparte pełną czytelnością dowcipu Modella — zapewniły mu popularność po dzień dzisiejszy.

(jert)

Nasza KRZYŻÓWKA

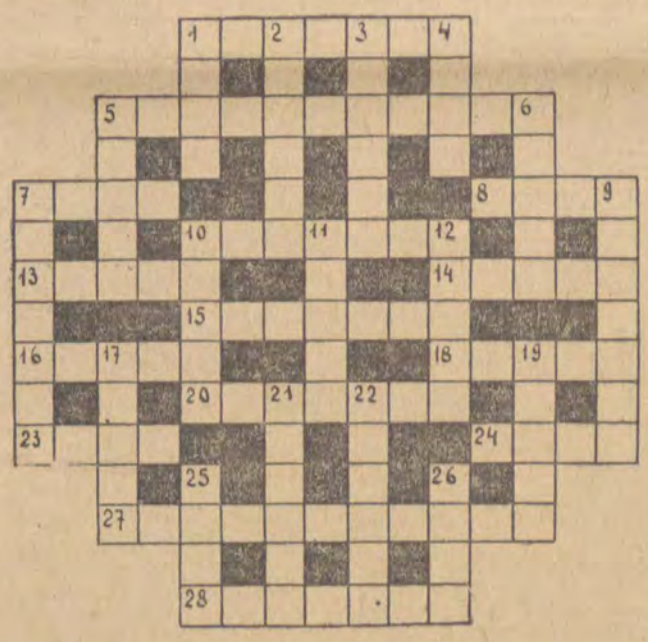

Poziomo — 1) Głos żurawia, 5) Opisowy wstęp do astronomii, zbiór elementarnych wiadomości astronomicznych, 7) Mebel, 8) Rozsądne i stosowne w danej chwili postępowanie, 10) Lipiec, sierpień i wrzesień, 13) Opłata za przesyłki pocztowe, 14) Miejscowość wczasowa nad Bałtykiem, 15) Drzewo liściaste, 16) Plac kształtem zbliżony do koła, 18) Pęd, siła rozpędu, uniesienie, 20) Gatunek wina musującego, 23) Ma wielbłąd, 24) Część stołu, 27) Kosmos, 28) Rodzaj rozrywki umysłowej.

Pionowo — 1) Wyrób z wikliny, 2) Wątłość, słabość tkanek, 3) Przyrząd prostujący skrzywienia kręgosłupa, 4) Część tylna okrętu, 5) Przyrząd mechaniczny do wbijania pali, 6) Ukochany, 7) Ogrodowa roślina o jadalnych pędach, 9) Rozprawa, studium, 10) Owoc palmy, 11) Intelekt, 12) Dekabrysta, oficer rosyjski; autor „Poglądu na sprawy polskie", 17) Największy dopływ Bugu, 19) Sternik wprowadzający okręt do portu, 21) Drzewo liściaste, 22) Zawarta jest w podaniu do władz, 25) Mija bezpowrotnie, 26) Narzędzie stolarskie.

Termin nasyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 19

Poziomo — sardynka, antyteza, gaza, port, Macedonia, werk, krab, akta, samo, bagno, limba, unizm, Arno, lot, klops, efekt, zamsz, koks, opar, Anna, zero, inwektywa, puls, kuna, statysta, eskapada. **Pionowo** — paralela, Odra, antrakt, parsek, karton, stolica, step, czardasz, kanapka, koniarz, korso, (corso), amper, salto, langusta, serenada, kontusz, powieka, nektar, stoper, sito, kopa.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. mgr Maria Koryl, Łódź, ul. Drukarska 19 m. 22

2. Walenty Jędrzejewski, Łódź, ul. Biegańskiego 31

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka historyczno-gastronomiczna. Mamy nadzieję, że nie sprawi ona specjalnych trudności naszym Czytelnikom, chociaż być może trzeba jednak będzie zerknąć do encyklopedii. W zagadce chodzi bowiem o ustalenie kiedy poznano w Polsce następujące produkty:

1) Piwo, a) w okresie prehistorycznym, b) w średniowieczu, c) w wieku XVIII?

2) Ziemniaki, a) za Mieszka I b) Na przełomie XVII i XVIII w. c) Początek wieku XVI?

3) Herbata, a) za Zygmunta Augusta, b) w czasie „potopu" szwedzkiego, c) w końcu XVIII wieku.

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe. Zamiejscowym nagrody wysyłamy pocztą.

ROZWIĄZANIE Z NR 26

Mikołaj Rej — Nagłowice, K. I. Gałczyński — Anin, Juliusz Słowacki — Krzemieniec, Jan Kasprowicz — Harenda.

Nagrodę otrzymuje p. Ewa Górska, Łódź-11, ul. Złocieniowa 2.

ROZWIĄZANIE Z NR 28

Fryderyk Chopin — George Sand, Jan Sobieski — Maria Kazimiera d'Arquien, Cyprian Norwid — Maria Calergis, Kazimierz Wielki — Esterka.

Nagrodę otrzymuje p. Lena Kaczorkówna, Łódź, Urzędnicza 9, m. 31.

HOBBY PANA HARPERA

opowiadanie kryminalne

Dokończenie ze str. 12

myślu. — I Somerville i ja nie znaliśmy w Arrowmouth nikogo i nie sądzę, żeby ktoś mógłby nas zauważyć i zapamiętać. Ale znano tam przecież Caldwella, czyż nie tak? Może widziano go w naszym towarzystwie? Zaraz, zaraz — dodał po chwili. — Coś sobie przypomniałem. Ale nie wiem, czy to może mieć jakieś znaczenie?...

— Niech pan mówi, słucham.

— Myślę o fotografii, którą zrobiliśmy tuż przed odjazdem pociągu. Jest na niej i Caldwell. Oczywiście, żywy.

Uśmiechnąłem się:

— Tak — powiedziałem — to już jest coś.

— Myśli pan? — ucieszył się Harper. — Zrobiłem to zdjęcie Caldwellowi i Somervillowi przed dworcem. Za chwilę mieliśmy wsiąść do pociągu. Zdaje się, że będzie pan mógł również określić czas wykonania zdjęcia. Zauważyłem, że jest na nim widoczny jeden z dworcowych zegarów.

— Czy mógłbym je zobaczyć? — zapytałem.

— Ależ oczywiście. — Harper podał mi zdjęcie. — Oto ono.

Zdjęcie było małe, ale ostre. Somerville i Caldwell stali obok siebie, uśmiechając się do kamery. W tle, na lewo, znajdował się budynek dworca z wyraźnie widocznym zegarem. Zdjęcie zostało zrobione za dwadzieścia pięć minut siódma. W prawym rogu można było dostrzec zabudowania portu i rzekę. Kilka małych łodzi stało przycumowanych do nadbrzeża.

Powróciłem do Yardu, nie mogąc oderwać się od myśli o tym zdjęciu. W Yardzie dowiedziałem się, że śledztwo przeprowadzone w firmie, przyniosło wcale niebagatelne rezultaty. Choć nie odkryto niczego, co by całą sprawę wyjaśniło ostatecznie, jeden z przestraszonych urzędników dał do zrozumienia, że pewne papiery wartościowe, zdeponowane u trzech wspólników, zostały przez nich spieniężone.

Harper i Somerville byli silnymi facetami i rzecz nie wyszłaby szybko na jaw, ale Caldwell w ostatnich dniach przed śmiercią stał się wyraźnie przybity i niespokojny. Było dla mnie jasne, że dotarliśmy do motywu zbrodni. Jeśli papiery zostały skradzione, Harper i Somerville mogli się obawiać, że Caldwell załamie się i zdradzi ich mimo woli. Stwarzając okoliczności na samobójstwo, wiedzieli, że byłoby ono tłumaczone stanem psychicznym Caldwella. Ale czy fotografia została zrobiona w sobotę czy w niedzielę? Jeśli nie potrafię udowodnić, że w sobotę, Harper i Somerville zostaną uniewinnieni przez każdy sąd. Ba, ale jak to udowodnić?

Strawiłem nad tym problemem wiele godzin. A potem, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, w jednej chwili zobaczyłem to, czego nie potrafiłem dostrzec przez tyle czasu. Dowód, widoczny jak na dłoni, znajdował się na zdjęciu. Właśnie na tym zdjęciu.

Spójrzcie tylko. Przecież to oczywiste. Harper powiedział, że w niedzielę najniższy poziom wody w Arrow — który to strumień podlega przypływom i odpływom morza — był tuż przed pierwszą. Przeto najwyższy poziom wody tego dnia musiał być około siódmej wieczorem. A jeśli tak, to w sobotę wieczorem najwyższy poziom wody musiał być koło szóstej. Zapamiętajcie: najwyższy poziom wody w sobotę koło szóstej i w niedzielę koło siódmej. Ale o wpół do siódmej w sobotę trwał już odpływ i woda opadała. A o wpół do siódmej w niedzielę woda nie sięgnęła jeszcze najwyższego poziomu i przypływ trwał nadal.

Jeżeli zdjęcie zostało zrobione w sobotę, to woda płynęłaby wtedy w dół rzeki, ku morzu. Jeśli natomiast zrobiono je w niedzielę, bieg wody skierowany byłby w górę rzeki.

Cóż mogło mi powiedzieć, w jakim kierunku płynęła woda na zdjęciu? A łodzie? Te łodzie przycumowane do nadbrzeża?

Wystarczyło jedno spojrzenie. Dzioby przycumowanych łodzi skierowane były w górę rzeki! Woda płynęła więc w dół, ku morzu. Zdjęcie zrobione zostało w sobotę, a nie, jak twierdził Harper, w niedzielę.

Dlaczego wspólnicy Caldwella chcieli użyć fałszywego alibi? Tego nie trzeba chyba wyjaśniać.

FREEMAN WILLS CROFTS

FREEMAN WILLS CROFTS

HOBBY PANA HARPERA

opowiadanie kryminalne

Pewnego dnia — a było to wczesnym latem — wysłano mnie z Londynu do Arrowmouth i Southshire. Miałem tam zająć się sprawą zgonu pewnego mężczyzny, którego ciało właśnie odnaleziono. Okoliczności wypadku były dość podejrzane. Czy znacie Arrowmouth? Wąskie, kręte uliczki tego małego miasteczka, położonego u ujścia rzeki Arrow, zabudowane są starymi, drewnianymi domami. Rzeka, wpadając tu do morza, rozszerza się nagle, tak że niewielkie statki mogą płynąć około 10 mil w głąb lądu. Miasteczko, oddalone od morza o kilka mil, leży tam, gdzie ujście rzeki dzieli wybrzeże na dwa przylądki. Na każdym z tych przylądków stoi stara twierdza.

Dzień był uroczy, a okolice w których miałem się znaleźć, piękne, miałem więc dosyć powodów do zadowolenia. Pierwszą wizytę złożyłem nadinspektorowi Petersowi z miejscowej jednostki. Pracowałem z nim już przedtem, znaliśmy się więc dość dobrze. Po kilku minutach rozmowy Peters przystąpił do rzeczy.

— Ta sprawa — powiedział — przyszła do nas z Londynu. To dlatego postanowiliśmy zwrócić się do Yardu.

— Prawie wszystko to, co dobre, pochodzi z Londynu. Cóż przesłaliśmy wam tym razem?

— Ten gość — powiedział Peters — był doradcą prawnym jakiejś firmy. Nazywał się Caldwell. Znaleziono go w lasku nieopodal twierdzy na Przylądku Zachodnim. Jeden z turystów, spacerował tam w poniedziałek rano i zobaczył ciało. Równie dobrze mogłoby tam leżeć przez cały miesiąc.

— No, to mamy szczęście — powiedziałem.

— Pewnie. Caldwell mieszkał w Londynie, ale często tu bywał. Trzymał tu motorówkę. Szybka łódź, z mocnym motorem. Tym razem przyjechał na dłużej i zatrzymał się w hotelu Arrow Arms. Nie był sam, przyjechali z nim jego dwaj wspólnicy. Obaj wrócili do Londynu w niedzielę wieczorem, pociągiem, który wyjeżdża stąd o szóstej czterdzieści pięć.

— O szóstej czterdzieści pięć? ... kiedy nastąpił zgon?

— Doktor sądzi, że między piątą a ósmą tego samego wieczoru, w niedzielę. Ale to tylko przypuszczenie.

— A więc to mogło się stać, nim ci dwaj odjechali. Z jakiej broni zastrzelono Caldwella?

— Z małego pistoletu automatycznego. Postrzał w prawą skroń, może to wyglądać na samobójstwo, bo skóra jest osmalona. Broń znaleźliśmy przy nim. Poza odciskami palców Caldwella, nie ma na niej żadnych śladów.

— Myśli pan, że to było samobójstwo?

— Myślałbym tak, gdyby nie pewien szczegół. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w niedzielę wieczorem na Przylądku Zachodnim znajdowała się miss Swayne, malarka. Robiła jakieś szkice, od Caldwella dzielił ją tylko mur twierdzy. Była też obok prawdopodobnie i wówczas, kiedy padł strzał. W każdym razie to, co usłyszała, wzbudziło jej podejrzenia.

— Co to było?

Peters uśmiechnął się:

— Czy nie powinien pan porozmawiać z nią osobiście?

Oczywiście, miał rację. Teraz czy później, i tak musiałbym odbyć tę rozmowę. Udałem się więc pod wskazany adres. Miss Swayne, mimo, że była artystką, wyglądała na kobietę, na której można polegać.

— Pracowałam tego popołudnia — opowiadała — na Przylądku Zachodnim. Szkicowałam właśnie ujście rzeki, gdy usłyszałam rozmowę po drugiej stronie muru.

— Czy treść rozmowy dotarła do pani?

— Nie. Nie mogłam też nic widzieć. Miałam zresztą swoją robotę, nie zwracałam uwagi na tych mężczyzn. Aż usłyszałam coś, co zmusiło mnie do przerwania pracy.

— Cóż to było, miss Swayne?

— Jakiś dziwny dźwięk —

odparła malarka. — Nie potrafiłabym go opisać. Coś w rodzaju uderzenia czy podmuchu powietrza. Potem usłyszałam jeszcze zduszony krzyk.

— Co pani wtedy uczyniła?

— Nic. Chciałam zapytać, czy nie stało się coś złego, ale znów usłyszałam rozmowę. Wróciłam więc do mojego szkicu.

— Czy pani jest pewna, że nie słyszała pani wystrzału?

— Nie. Jeśli padł strzał, to nie wtedy, gdy ja tam byłam.

— O której usłyszała pani ten dziwny dźwięk?

— Dochodziła już chyba szósta.

To było wszystko co miss Swayne miała mi do powiedzenia. Jej świadectwo potwierdzało niewątpliwie przypuszczenie, że mam do czynienia z morderstwem. Dźwięk który słyszała, można było łatwo zidentyfikować. Pistolet znaleziony został co prawda bez tłumika, ale tłumik mógł zostać zdjęty po oddaniu strzału. Aby sprawdzić to, zabrałem miss Swayne na miejsce, w którym dokonano morderstwa. Poprosiłem ją, żeby stanęła dokładnie tam, gdzie znajdowała się owego popołudnia i — znalazłwszy się za murem w miejscu, gdzie odkryto ciało — oddałem strzał z identycznego pistoletu z tłumikiem. Miss Swayne natychmiast rozpoznała ten sam dźwięk.

Jak łatwo przypuścić, miałem już dość oczywistą teorię. Trudno było wątpić o tym, że Caldwell został zamordowany. Byli z nim dwaj mężczyźni, bo miss Swayne słyszała rozmawiających także wtedy, kiedy oddano już strzał. Ci dwaj mężczyźni — współpracownicy Caldwella — spędzili z nim uprzednio cały dzień i natychmiast po jego śmierci powrócili do Londynu. To wszystko stało się na tyle przekonywujące, że mogłem zadzwonić do Yardu, aby poprosić o przeprowadzenie wywiadu w firmie, w której pracował Caldwell. Czekając na odpowiedź, poszedłem do Arrow Arms, żeby zobaczyć się z zarządzającym hotelu. On również nie zawiódł moich nadziei.

— Oczywiście — powiedział. — Znałem Caldwella całkiem dobrze. Często u nas mieszkał. Ostatnio zjawił się w sobotę i powiedział, że tym razem zatrzyma się przynajmniej na dwa tygodnie.

— Czy znał pan także jego współpracowników? Harpera i Somerville'a?

— Spali tu w nocy z soboty na niedzielę. Widziałem ich po raz pierwszy w życiu.

— Co pan może powiedzieć o ich pobycie tutaj?

Zarządzający myślał przez chwilę:

— Ci panowie — zaczął — przyjechali tu, jak już powiedziałem, w sobotę wieczorem. Chyba pociągiem. W każdym razie, wrócili do Londynu pociągiem. Jedli tu obiad w sobotę wieczorem. W niedzielę wszyscy trzej wyszli po śniadaniu, zabierając ze sobą lunch. Pomyślałem sobie wtedy, że wybierają się gdzieś łodzią pana Caldwella.

— A o której wrócili do hotelu, — spytałem.

— Przyszli na herbatę, przed piątą.

— A potem?

— Wyszli natychmiast po herbacie. Harper powiedział, że chcą jeszcze przejść się po mieście przed odejściem pociągu. Chodziło o ten pociąg o szóstej czterdzieści pięć.

— Czy Harper i Somerville mieli ze sobą jakiś bagaż?

— Tylko małe walizeczki. Zabrali je już rano, mówiąc, że wolą zostawić je w przechowalni na stacji. Bali się, że przejażdżka motorówką może się przeciągnąć, i nie będą mieli czasu wstąpić tu przed wyjazdem. Caldwell, oczywiście, nie zabrał swoich walizek. Miał wrócić wieczorem do hotelu.

Tyle powiedział mi zarządzający. Choć nie dowodziło to jeszcze niczego, przynajmniej nie było niezgodne z moją teorią o winie wspólników Caldwella. Zdecydowałem, że muszę porozmawiać z nimi natychmiast. Przed wyjazdem z Arrowmouth miałem jeszcze krótką pogawędkę z Petersem. Pokiwał głową, usłyszawszy, czego zdążyłem się dowiedzieć.

— No tak — rzekł — to akurat tyle, ile i mnie udało się wywęszyć. Harper i Somerville rzeczywiście przyjechali tu w sobotę pociągiem o wpół do siódmej. Portier z hotelu widział ich, jak wysiadali z wagonu, i odniósł ich bagaże do autobusu. W niedzielę rano wszyscy trzej wyszli z hotelu i gdzieś około wpół do jedenastej widziano ich, gdy wyruszali motorówką w górę rzeki. Wrócili wpół do piątej. Wypili herbatę w hotelu i wyszli na miasto kilka minut

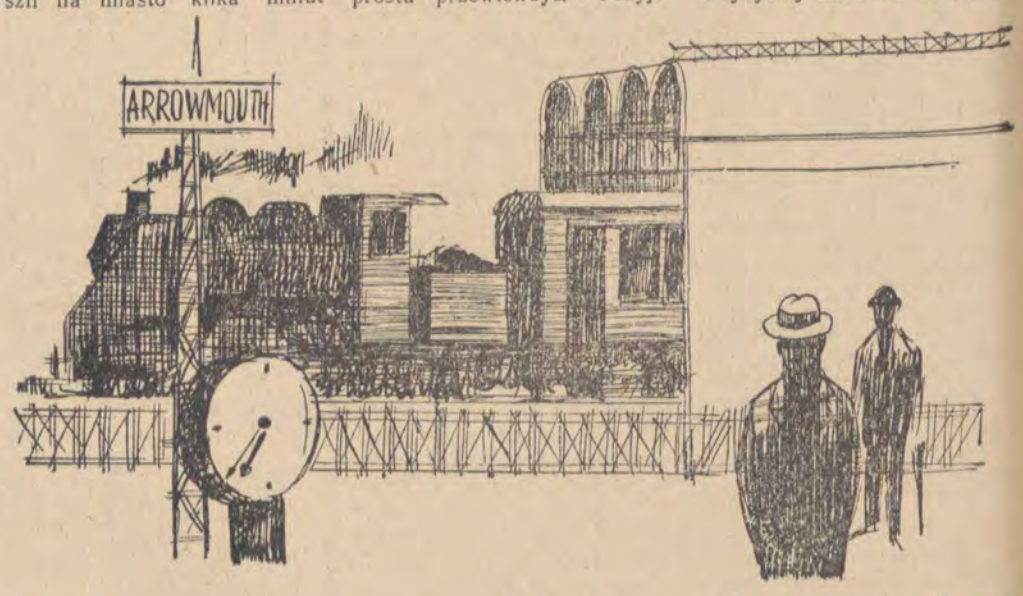

po piątej.

— To już wiem od zarządzającego — powiedziałem. — A potem? Czy jesteś pewien, że wyjechali stąd pociągiem o szóstej czterdzieści pięć?

Peters spojrzał na mnie kpiąco.

— Kotku — zauważył — skrupulatność nie jest przywilejem wyłącznie Yardu. Porozmawialiśmy sobie z kelnerem wagonu restauracyjnego. Obsługiwał tych dwóch.

— Wypada ci pogratulować sukcesu — uśmiechnąłem się. — Ale wciąż jeszcze nie wiemy wszystkiego. Na przykład, co robili ci panowie w niedzielę między piątą a szóstą trzydzieści?

— Jasne — zawołał Peters. — Chciałbyś, żebym wykonał za ciebie całą robotę. Zrób coś sam, dobrze?

— No tak — powiedziałem — ale to „coś", jest tu właśnie najważniejsze.

— Nie musieliście przecież przysyłać nam tych facetów z Londynu — odpowiedział Peters.

Pewnie, nie musieliśmy. Peters zrobił wszystko co mógł. Wyglądało na to, że nie uda nam się zdobyć jakichkolwiek informacji o tym, co stało się w niedzielę między piątą a szóstą trzydzieści. Czekała mnie jednak rozmowa na ten temat ze współpracownikami Caldwella. Natychmiast po powrocie do Londynu zadzwoniłem do biura, w którym pracowali ci dwaj.

Zacząłem od rozmowy z Harperem. Był to tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy, wyglądający na człowieka, który — przyparty do muru — nie cofnie się przed niczym. Wyjaśniłem mu, o co mi chodzi.

— Ach tak — westchnął — to straszna historia. Biedny Caldwell! Czy pan jest pewien, inspektorze, że wasze domysły są słuszne? Nie znam nikogo, kto by nie lubił Caldwella.

— Nie twierdzimy — rzekłem, cokolwiek obłudnie — że to było morderstwo. Ale rozumie pan, że musimy wziąć pod uwagę i taką możliwość.

— Oczywiście, rozumiem — przytaknął. — Tak, czy inaczej, to nie moja sprawa, tylko pańska. Ma pan jakieś pytania?

— Jeśli pan pozwoli. Czy nie zechciałby pan opowiedzieć mi o okolicznościach waszej wizyty w Arrowmouth?

Harper opadł na fotel:

— To proste — wyjaśnił. — Pojechałem tam, ponieważ lubię robić zdjęcia. Takie hobby, rozumie pan? Interesują mnie szczególnie stare twierdze. Mam w domu ze dwie setki podobnych fotografii. Ale to chyba pana nie interesuje, co?

— Niech pan mówi — powiedziałem. — Piekielnie mnie to interesuje.

— Zapewne pan wie — opowiadał dalej Harper — że w odległości jakichś dziesięciu mil od ujścia Arrow, płynąc w górę rzeki, leży wyspa. Jest tam stara, zrujnowana twierdza, której zdjęcie od dawna już chciałem mieć w mojej kolekcji. Dwie inne twierdze w ruinie znajdują się na przylądkach u ujścia Arrow. Okazja była więc niebywała. Caldwell znał moje hobby, i kiedy zdecydował się na wyjazd do Arrowmouth, zaproponował mnie i Somervillowi, żebyśmy się z nim zabrali. Ja miałem robić zdjęcia, Somerville chciał się po prostu przewietrzyć. Przyjechaliśmy w sobotę wieczorem i zatrzymaliśmy się w Arrow Arms. W niedzielę, kiedy zrobiłem już zdjęcia, wróciliśmy do Londynu wieczornym pociągiem.

Zgadzało się to z tym, czego dowiedziałem się już uprzednio. Chodziło mi jednak o coś więcej.

— Przykro mi — zacząłem — ale muszę prosić pana o pewne szczegóły.

— To zrozumiałe — zgodził się Harper. — Może pan pytać dalej.

— Spróbujmy — powiedziałem — odtworzyć chronologię tej sprawy. O której godzinie przyjechali panowie do Arrowmouth?

— O szóstej trzydzieści.

— A co robili panowie wieczorem?

— Oglądaliśmy ruiny twierdzy na Przylądku Zachodnim, u ujścia rzeki. To tam znaleziono później Caldwella. Oświetlenie było słabe, ale

mimo to udało mi się zrobić kilka zdjęć.

— Pozostaje niedziela.

— W niedzielę opuściliśmy Arrowmouth około wpół do jedenastej i popłynęliśmy w górę rzeki, w kierunku wyspy. Tam zjedliśmy lunch i...

— O której znaleźli się panowie na wyspie?

— O wpół do pierwszej.

To było zaskakujące.

— Dwie godziny? — spytałem. Przez dwie godziny zrobili panowie tylko dziesięć mil? Zdawało mi się, że Caldwell miał łódź z mocnym silnikiem.

Harper pokiwał głową:

— Mówiliśmy nawet o tym w czasie wycieczki — powiedział. — Caldwell wahał się, czy w ogóle jechać w górę rzeki. W niedzielę, tuż przed pierwszą, był odpływ i poziom wody był bardzo niski. Gdybyśmy mieli za sobą przypływ, przebylibyśmy tę trasę w czasie o połowę krótszym.

— Rozumiem. A tak znaleźliście się na wyspie dopiero o wpół do pierwszej. O której nastąpił powrót?

— Po czwartej, powiedzmy, nawet o wpół do piątej. Wróciliśmy do Arrow Arms na herbatę.

— I wyjechaliście do Londynu o szóstej czterdzieści pięć?

— Tak.

— A jak spędzili panowie te półtorej godziny między herbatą a odjazdem pociągu?

Harper nawet nie drgnął. Odpowiedział tak samo spokojnie i chłodno, jak poprzednio:

— Spacerowaliśmy po mieście i po nadbrzeżu. Myśleliśmy nawet, aby przeprawić się przez rzekę i sfotografować twierdzę na Przylądku Wschodnim, ale baliśmy się, że wówczas możemy spóźnić się na pociąg. Miasteczko jest zresztą też dość interesujące.

— Tak — rzekłem, odrobinę rozczarowany — wszystko jest więc jasne. Śledztwo ma jednak swoje prawa i muszę prosić pana o przedstawienie dowodów, że nie opuszczał pan miasta między, powiedzmy, piątą a szóstą trzydzieści w niedzielę.

Harper spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

— Nie sądzę, abym mógł przedstawić panu taki dowód. Somerville, oczywiście, może potwierdzić moje słowa. Ale zapewne i on jest jednym z podejrzanych?

— Tego nie powiedziałem — zauważyłem. — Powtarzam jednak, śledztwo ma swoje prawa. Może więc przypomni pan sobie coś, co potwierdziłoby pańskie słowa.

— Naprawdę, nie przypominam sobie nic takiego — odrzekł Harper po chwili na-

Dalszy ciąg na str. 11

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-78 ◇ Warunki prenumeraty miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 2181.VIII. L-4